Nr. 3. Warszawa, dnia 19 (7) Stycznia 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

„UMSTURZVORLAGE.“

Sejm niemiecki, zebrawszy się po raz pierwszy w tym roku d. 8 b. m., wziął bezzwłocznie pod obrady projekt, nad którym naród niemiecki radzi już od pół roku. Otrzymał go w spadku po Caprivim, który na żądanie cesarza Wilhelma podjął się był wprawdzie zaprojektowania środków do walki z socyalizmem anarchistycznym, ale w projekcie swoim poprzestał na obostrzeniu jedynie kodeksu karnego, kodeksu wojskowego i przepisów o stowarzyszeniach.

Pierwszego już dnia rozpraw zarysowały się oblicza stronnictw. Socyalista Auer wygłosił mowę programową, jakich już kilkanaście przed nim słyszała najwyższa rada narodowa Niemców: socyalizm nie ma nic wspólnego z anarchią, nie lęka się więc o siebie, nowe prawo jednak zagraża wogóle życiu politycznemu. Tezę niewinności socyalizmu zbijają stronnictwa zachowawcze i narodowo-liberalne. Skoro Bismark ongi dowodzić mógł Richterowi, że socyalizm jest conajmniej pokurczem „Freisinnu,“ jeżeli nie jest prawem jego dziecięciem, to większą jeszcze podstawę do uważania anarchizmu jedynie tylko za odrośl przeklętego drzewa, mają stronnictwa, stojące dziś na szańcach religii, obyczaju, rodziny i wogóle porządku. Katolickie centrum podziela to przekonanie, ale nie pochwala strzelających z niego dążności. Poseł Groeber mniema, że nie prawami, ale religią, socyalizmem chrześciaściańskim, powalić będzie można socyalizm bezbożny i bezrządny, prawo zaś w żadnym razie nie powinno być toporem, ścinającym pień, gdy dość jest obciąć tylko gałąź.

Najgorętszym przeciwnikiem socyalizmu okazał się d. 9 b. m. baron Stumm z „Reichspartei.“ Projekt obecny jest zaledwie pierwszym krokiem na drodze; Stumm proponuje dwa paragrafy: § 1 demokraci socyaliści tracą bądź czynne, bądź bierne prawo wyborów; § 2 anarchiści pójdą na wygnanie, a gdyby się opierali — do więzień. Projekt obecny daje *minimum* tego, czego potrzeba; niechże sejm się nie namyśla i przyjmuje niepodzielnie. W duchu tego zaklęcia półurzędowy, poważny list w *Schles. Ztg.* zaklina sejm, aby dał, czego odeń żądają, bo zażądają więcej, a nawet i żądać przestaną, radząc sobie bez sejmu. Bawarczyk Sigl z humorem jowialnym wykazywał niebezpieczeństwa paragrafu 130 dla wszystkich stronnictw. Rząd w osobach ministrów pruskich, a głównie Kellera, nowego ministra spraw wewn., przywiezionego ze Strassburga, zaprzeczał niebezpieczeństw, a bronił konieczności. Wogóle ministrowie mówili niewiele i niedołężnie, p. Keller nawet pierwszego dnia „się zasypał“; drugiego dopiero odzyskał wobec stronnictw porządnych powagę ministrowi przystojną.

D. 10 b. m. wystąpił Bennigsen, przewódca narodowo-liberalnych. Powiedział wielką, zasadniczą, głęboko sięgającą mowę, która miała jednak tę właściwość, że prawdy w niej wygłoszone zbijały założenie wstępne o niezbędności projektowanych obostrzeń. Zdaniem Bennigsena, monarchia w Niemczech tylko jeszcze posiada cały swój wzrok i prawo. Formy własności są ruchome i zmienne; organizacya społeczna podlega prawu doskonalenia się. Wprowadzając głosowanie powszechne, trzeba było przewidzieć, że nie zaniedbają skorzystać z niego i socyaliści i wszystkie stronnictwa ruchliwe, zachodzące dalej niż rząd a z nimi umiarkowany miąższ narodu. Była to strzała, posłana w stronę p. Bismarka, który zapewne i bez niej już nieraz rozranił sobie serce myślą, iż konstytucya z r. 1871 wyhodowała socyalistów, ale za każdym razem rany swe goił przekonaniem, że bez głosowania powszechnego stopienie niemców w jeden lud polityczny, w jedno państwo—szłoby niesłychanie oporniej, niż idzie obecnie.

Kanclerz Hohenlohe migał się tylko w sejmie, przechodził, przystawał, słuchał i raz tylko jeden odczytał krótkie przemówienie z kartki, trzymanej w ręku. Sędziwy człowiek widocznie już sił nie ma do mówienia z pamięci; kanclerzem wszakże być jeszcze może, dopóki go cesarz Wilhelm trzyma, zdaje się przecież, że on sam dobrowolnie się usunie, ustępując miejsca najprawdopodobniej gen. Waldersee'mu. Obronę w sejmie, prócz p. Kellera, prowadzili: gen. Bronsart Schellendorf, min. wojny, i p. Schönstedt, min. sprawiedliwości, z formacyi już Hohenlohego. Generał zaręczył, że projektowane obostrzenia kodeksu wojskowego wystarczą za potrzebę; minister cywilny wykazywał konieczność ścieśnień i przypominał inicyatywę samych wolnomyślnych.

Wolnomyślni, przeciwni projektowi, znaleźli przekonywającego rzecznika w Barthcie, uszczypliwego w Munckelu. Zwolna wyłoniła się z sejmu wola większości. Dnia 11 b. m. po raz pierwszy rozległo się oklaskami powitane słowo: „odesłać do komisyi,“ a wyszło ono z ust posła polskiego, Wolszlegiera, który w myśl centrum, żądając prerogatyw dla religii w walce z socyalizmem, za niezbędną uważał zmianę w porządkach szkolnych, umożliwiającą wszczepianie w lud rzetelnej religijności: dzieci muszą rozumieć, czego się uczą. Dnia 12 b. m. nareszcie odesłano „Umsturzvorlage“ do komisyi z 28 członków. Odrzucenie *a limine* nie było prawdopodobnem wskutek postawy centrum, które miało nadzieję wytargować na rządzie jezuitów i d. 16 b. m. żądania swego broniło. Zasada *do ut des* stoi niewzruszona; będzie jeszcze czas „uśmiercić“ projekt w komisyi, a można przytem coś zarobić.

W każdym razie komisya zmieni projekt, ale go nie odrzuci; tylko ów § 130 światła dziennego już nie ujrzy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Odkrycie tajemnic gospodarki kolei Południowej pociągnęło za sobą o wiele donioślejsze skutki, niż na razie przypuszczano. Jeszcze w końcu roku przeszłego na porządek dzienny wypłynęła sprawa rękojmi rządowej; obecnie zaś ponowiono ją z powodu znanych nadużyć i aresztowań. Przed laty dwunastu postanowiono stworzyć w całym kraju sieć drugorzędnych kolei, wykonanie zaś tych robót oddano towarzystwom, które przyjęły to zadanie pod warunkiem przedłużenia terminu gwarancyi dochodów. Zawarto umowy, ale brzmiały one niewyraźnie, w sposób umożliwiający wszelką dowolność. Obecnie kwestyę ową podniesiono, niejasność znowu usiłował wyświetlić minister robót publicznych, Barthou, twierdząc, że gwarancya ustaje 1914 r. i zażądał, aby towarzystwa wypuściły nowe obligacye, w których termin byłby wyraźnie oznaczony. Gospodarze dróg nie przystali jednak na to, gdyż wybudowanie bocznic jest nazbyt wielkim ciężarem, więc należy trudy wynagradzać do terminu, w którym kończy się koncesya, tj. do r. 1956 na linii Orleańskiej i do 1960 na Południowej. Rada państwa po rozpatrzeniu sprawy, rozstrzygnęła ją na korzyść towarzystw, wbrew żądaniu ministra. Wobec tego Barthou podał się do dymisyi, a lewica radykalna zażądała pociągnięcia do odpowiedzialności Raynala, byłego ministra robót publicznych, który niejasne umowy zawarł przed 12-tu laty. Rezultatem tego był burzliwy atak na rząd, wobec czego Dupuy ze wszystkimi ministrami opuścił posiedzenie i następnie podał się do dymisyi, którą Casimir-Perier bez wahania przyjął. Tak więc gabinet Dupuya upadł w chwili, gdy tego najmniej się spodziewano. Łatwo sobie wyobrazić, jaka dziś wrzawa panuje we Francyi, ile prądów ściera się wzajemnie, ile żółci i namiętności niehamowanej wylewa. Rozgorączkowani bez ceremonii z jasnymi kagańcami wchodzą we wszelkie skrytki robót, z których wylecą zapewne liczne nietoperze, siedzące dotąd spokojnie w czeluściach nadużyć. *Petite République* dowodzi, że dzieje Panamy były bagatelką wobec ogromu obecnych skandalów. Przewidują, że powołany będzie gabinet Bourgeois, w którego skład wejdą: Barthou, Poincaré i Leygues.

W chwili ostatniej druty telegraficzne przyniosły nam piorunującą i wstrząsającą całą Francyą niespodziankę — złożenie przez prezydenta własnej dymisyi. Pomimo nalegań różnych mężów stanu, Casimir-Périer pozostał niezachwianym w swoich postanowieniach. Na miejsce jego już wybrano większością głosów Feliksa Faure'a, ministra marynarki.

Parotygodniowe przesilenie w Węgrzech już przeszło; ster rządu oddano w ręce obozu liberalnego, z Banffym na czele. Z tego powodu *Neue freie Presse* wypowiada kilka zdań, zasługujących na uwagę: „Pytają powszechnie, dlaczego nie zaproponowano żadnej teki posłowi Stefanowi Tisza i — nie ma na to żadnej odpowiedzi. Nie wiadomo również, dlaczego dr. Ignacy Daranyi nie został ministrem sprawiedliwości, lub czemu usuwa się były minister wyznań, bar. Eötvös? Największe talenty partyi liberalnej musiały opuścić widownię działalności rządowej, skutkiem reform w zakresie polityki kościelnej." Inni mniej wybitni, lecz również zdolni, nie wzięli także udziału. Zwrócono się więc do jednostek drugorzędnych, których prasa opozycyjna uprzejmie nie wita i nowe ministeryum nazywa „zabawką karnawałową," „gabinetem operetkowym" itd. Ster Wekerlego składał się z ludzi utalentowanych, więc obecny w porównaniu z nim wychodzi nadzwyczaj niekorzystnie. Skład jego tworzą, oprócz wymienionego prezesa, barona Banffy'ego: minister skarbu Władysław Lukacs, spraw wewnętrznych Dezyderyusz Perczel, sprawiedliwości Aleksander Erdelyi, rolnictwa hr. Festetics, oświaty i wyznania Wlasics, handlu Ernest Daniel, obrony krajowej Feierwary, minister dla Kroacyi Sosipowics. Jak widzimy, są to wszystko działacze, których imiona nie zwróciły dotąd szerszej uwagi żadnym czynem, znamionującym wybitne uzdolnienie.

Wobec dwu powyższych zdarzeń w ubiegłym tygodniu wszelkie inne schodzą do rozmiarów błahych doniesień dla zapełnienia zwykłych rubryk telegramów i „ostatnich wiadomości." Na dalekim wschodzie strzały nie milkną, Francya wysłała już część wojska z Tulonu do Madagaskaru, Włochy nie mogą się uporać z Kassalą, a nawet są w wielkim kłopocie wobec odwagi i wytrwałości derwiszów. Według najświeższych wieści, położenie osaczonego generała Baratierego jest nawet groźne. Z Seulu donoszą o ogłoszeniu dnia 7 b. m. niezależności Korei.

W Belgradzie trybunał uznał za rzecz dowiedzioną, że Cebinacz i jego towarzysze pracowali nad obaleniem dynastyi Obrenowiczów i osadzeniem na tronie serbskim ks. Piotra Karadżordżewicza. Uwolniono: Jasza Nenadowicza i Gioka Nowakowicza z braku dowodów. Jednocześnie ogłoszono wyrok w procesie Simy Giakowicza i Miskowicza o zamiar otrucia króla. Obu uwolniono.

BADANIA NAUKOWE.

„LOGIKA SPOŁECZNA."

Pewien ekonomista unosił się nad wyższością swojej nauki. Chemik — mawiał on — musi badać różne pierwiastki, jak będą zachowywały się nawzajem do siebie, fizyk jest równie niewolnikiem empiryi i ślęczy nad własnościami ciał. A kiedy nagromadzą zasób szczegółów, nawet wtedy nie wolno im wybiedz po za ramki indukcyi, polot ich wyobraźni jest spętany. Tymczasem badacz, poszukujący praw, które rządzą zjawiskami gospodarczemi, jest wolny od kajdan: wychodzi na spacer i w umyśle swoim podczas przechadzki odkrywa nowe prawdy... Niestety, po dzień dzisiejszy takie zagłębianie się w swojej jaźni stanowi ulubioną metodę w socyologii! Ktoś, rozejrzawszy się nieco w swojej wyobraźni, wydobywa z niej zasady życia gromadzkiego. Pojawiają się dzieła, każde zaś pełne „nowych" widnokręgów. Ktoś wpadł na myśl przeprowadzenia przez wszystkie dziedziny zjawisk prawa ciężkości: wszędzie we wszechświecie działa siła przyciągania i odpychania, zarówno w systemie planetarnym, jako też w rozwoju państw i stosunków społecznych. Nieborak, tłomaczy jedynie zjawiska fizyczne na język socyologiczny, chociaż mu się zdaje, że odkrył niezmiernie doniosłe uogólnienia. Ktoś inny, zapatrzony w przesłanki biologii, obwieszcza, że społeczeństwo jest organizmem i znowu mozoli się nad przekładem terminów biologicznych na język zjawisk społecznych, czyli poprostu układa słownik biologiczno-socyologiczny, który ani na jotę nie posuwa naszej znajomości

---

3)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ALRUN.

Orla.

Kiedy gromada zauważyła moją nieobecność?

Arjos.

Wieczorem. Gdy noc zaczęła spuszczać swoją zasłonę, na drzewach zostało już tylko ledwie parę gniazd nieprzyjacielskich, których nie dosięgły nasze strzały i nie zniszczył pożar. Odsunąwszy się od ognia, który pląsał, huczał i syczał po lesie, oblani jego łuną usiedliśmy za jeziorkiem na łące dla odpoczynku. Wtedy wódz rozkazał: sprowadzić kobiety! Zerwałem się pierwszy, ażeby mi nikt nie zabrał ciebie. Ale Ukor powstrzymał mnie: ty zajmij się przygotowaniem wieczerzy, bo umiesz wywnętrzać barany lepiej od innych. Kłamał — nie umiem. Zrobię to jeszcze lepiej — odrzekłem — z moją kobietą. Z twoją kobietą? — ryknął. Tu niema twojej, są tylko nasze, a naprzód moje. Natychmiast jego zausznicy obstąpili mnie, gotowi do napaści. Zdrętwiałem i bezwładny usiadłem na ziemi. A gdy za odchodzącymi Ukor krzyknął: Orla dziś dla mnie! — czułem, że tą kąsającą boleścią, która mnie szarpać zaczęła, muszę zabić jego lub siebie. A on dalej swym gadzim językiem szczypał mnie złośliwie. Już wściekłość wyprężała mi rękę, już dźwignąłem się, ażeby go ugodzić, gdy słyszę wysłańców, wracających na czele kobiet z doniesieniem, że ciebie nie ma, że cię prawdopodobnie ktoś z okolicznego plemienia zbłąkaną ukradł. Ja ją znajdę i odbiorę — rzekłem. A idź — powiedział szyderczo wódz — w każdym razie zyskasz, bo jeżeli cię nawet powieszą, będziesz miał bliżej do nieba i prędzej zobaczysz się z przodkami. Naprzód coś mnie pchnęło w tę stronę, ale postanowiłem wprzódy obszukać najbliższą okolicę. Obleciałem szerokim kręgiem nasze obozowisko — wypatrując cię i nawołując coraz głośniej. Tylko cisza odpowiadała mi echem mojego głosu. Zmęczony ległem na skraju lasu, bo do gromady wracać nie chciałem, chociaż jej wrzaski buchały niedaleko. Natychmiast oskoczyły mnie upiory i zaczęły przykładać swoje zimne wargi do moich uszu. Jeden mi mówił, że cię zabito i zjedzono, drugi, że cię lwica niesie dla swoich dzieci, inny, chichocząc się, szeptał, że pastwi się nad tobą czereda mężczyzn... Przez całą noc tak mi żarły duszę. Rano, zaledwie zbudzone słońce zrzuciło z siebie okrycie nocy, zacząłem znowu oglądać miejsce, gdzie przebywaliście podczas bitwy i na piasku dostrzegłem odciski drobnych stopek, ciągnące się ku zatoce rzadkim łańcuchem szybkiego biegu. W znacznej odległości przerwały się te ślady przy kotlinie. Jej wklęsłość odpowiadała twojej postaci — więc odgadłem, że musiałaś tam nocować. Pomimo że dalej rozesłała się murawa, rozpoznałem lekkie dotknięcia twoich nóg. Dopadam do zatoki i widzę na przeciwległym jej brzegu jedno czółno. Za chwilę było tam drugie, na którem ja przepłynąłem. Orlo droga, zrośnijmy się, ażeby nas już nikt nie rozdzielił, albo ubłagajmy jakiego czarodzieja, ażeby nas przemienił w parę zwierząt, ptaków, ryb, drzew... Chyba mi wyrosną kły i pazury, jeśli kto teraz po ciebie sięgnie.

o tem, czem jest istota więzi społecznej i jak brzmią prawa jej rozwoju. Przecież zdaje mu się, że wyłuskał prawdę niezmiernie ważną! I co najciekawsze, są umysły, które prawdy te, sprzeczne ze sobą, usiłują pogodzić lub rozszerzyć. Rozpoczyna się „praca naukowa,“ która jest wszystkiem, a więc nakładem wyobraźni, polotem metafizyki, tworem dowcipu, jeno nie pcha wiedzy na nowe ścieżki. Wysiłek ludzki idzie na marne, czas ginie bezużytecznie i prócz jałowej scholastyki nauka nie odnosi żadnego pożytku, umysł zaś jest poszkodowany, bo zamulony przez czcze uogólnienia.

Takie scholastyczne dociekania świeżo pomnożono o jedno dzieło więcej, *Logikę społeczną* Tarde'a *). Książka ta powstała według recepty dowcipnego ekonomisty, o którym wspominaliśmy: idź na przechadzkę i wyłuskuj ze swego mózgu prawdy ekonomiczne! Niema tam wiersza nawet, któryby potrzebował indukcyjnego uwzględnienia istniejącej rzeczywistości. Autor postawił sobie parę ogólnych spostrzeżeń, do nich dorzucił parę przesłanek, później wyciągnął z nich mnóstwo wniosków, wywody te upstrzył faktami, które — wierny syn wieku powszechnego szablonu! — pogwałcił nielitościwie i powtykał, bez względu, czy natura ich na to przystaje. Powstała książka, licząca przeszło czterysta stronic, z której aż nazbyt często wygląda jałowość, co zresztą bynajmniej nie przeszkodzi, ażeby nie obwieszczono jej za nowy a poważny przyczynek do wiedzy socyologicznej i ażeby *minorum gentium* odkrywcy „praw społecznych“ nie cytowali mądrych poglądów mistrza Tarde'a. Tak — rzeknie rzesza — nasze społeczeństwo jest czemś więcej, niż sądzą czerstwe a jednostronne mózgi, bo przyciąganiem i odpychaniem, jednocześnie też organizmem, wreszcie mózgiem, który rządzi się prawami, analogicznemi z zasadami logiki indywidualnej. Musimy dodać tu pewną uwagę, ażeby nas nie posądzono o to, czegośmy powiedzieć bynajmniej nie pragnęli. Tarde jest człowiekiem dowcipnym i rozumnym, który sporo złożył dowodów swojej bystrości w poprzednich pracach: jego krytyka, dotycząca antropologii kryminalnej, jego poglądy, wypowiedziane z powodu psychologii objawów zbiorowych, wymownie o tem świadczą. To też na stronicach nowej swojej książki rozrzucił mnóstwo uwag słusznych i wogóle wykazał wiele trafności w tym lub owym szczególe. Ale myśl główna *Logiki społecznej* jest nawskróś zasadą jałową i bezpłodną, i książka, jakkolwiek pochłonęła prawdopodobnie niemało czasu, stanowi bezwarunkowo płód poroniony.

*) G. Tarde: *La logique sociale*. Paryż.

Wywody nowej pracy Tarde'a wiążą się dość ściśle z inną jego książką, poświęconą badaniu praw naśladownictwa w życiu gromadzkiem. Tam Tarde badał zasady rozpowszechniania się idei. Rzecz prostą a niezawikłaną, którą dałoby się zmieścić na paru, ostatecznie na kilkunastu stronicach, rozwałkował on na tom cały i wprowadził miejscami wprost dzikie terminy: różne „gramatyki“ społeczne, „słowniki“ i inne, które więcej ujawniły dowcipu i zręczności dyalektycznej, aniżeli utorowały dla nauki nowych a pożytecznych dróg. Był to traktat — jak mówi autor — o pamięci społecznej. Obecna winna zająć się zbadaniem, według jakich praw społeczeństwo, będące zbiorem fal naśladowniczych, rozbiegających się od każdego nowego wynalazku, rozwija się i organizuje, i zbadać, jak działają sąd i wola. Zdaniem badacza francuskiego, organy społeczne, fizyognomia i stosunki pomiędzy członkami społeczeństwa bynajmniej nie są obojętne dla socyologii, ale jej istotne pole studyów — to ideje i namiętności, interesy i poglądy, słowem, działalność duchowa. Przedewszystkiem jednak, czem jest społeczeństwo? „Społeczeństwo — poucza Tarde — bynajmniej nie jest organizmem, ani nie staje się do niego podobniejsze w miarę tego, jak cywilizacya idzie wciąż dalej; przypomina ono ze swej natury raczej ów organ szczególny, zwany mózgiem, i dlatego to wiedza społeczna, ponieważ jest psychologią, przedstawia jedynie proste zastosowanie logiki. W całokształcie swoim rozpatrywane, społeczeństwo jest lub staje się z dniem każdym wielkim mózgiem zbiorowym, którego tylko komórkami są pojedyńcze mózgi indywidualne.“ Określenie to wprowadza nas odrazu w jądro rzeczy. Odtąd już na pewno cały traktat Tarde'a będzie tylko tłomaczeniem zjawisk mózgu naszego na język socyologiczny — swego rodzaju słownikiem. Wiedza społeczna — jego zdaniem — ma do czynienia z tymi samymi pierwiastkami, z jakimi spotykamy się przy analizie ducha: z wrażeniami i pociągami, i całą działalność gromadzką sprowadza do skojarzenia jednych i drugich, do układania sylogizmów logicznych w zakresie wierzeń i teologicznych w sferze pociągów. Weźmy jeden i drugi wypadek pojedyńczy. Arab spotyka w pustyni wroga swego plemienia. Zwyczaj zemsty względem takiego wyrodka jest założeniem, które zrosło się z jego umysłem i sercem, wyssane z mlekiem matki, wzmocnione tradycyami, kto zaś uchyla się od tego obowiązku, ten nie wart, żeby go macierz-ziemia dalej nosiła; założenie to przychodzi mu na myśl teraz, kiedy spotkał kogoś z nieprzyjaciół dziedzicznych swojego rodu, i to zdarzenie jest mniejszą przesłanką w sylogizmie jego postępowania społecznego; wniosek wreszcie polega na wyrozumowanym lub odczutym obowiązku zgładzenia go ze świata i na dokonaniu tego czynu. Idźmy teraz dalej i przypuśćmy, że wróg ów ukrył się we własnym jego namiocie. Wtedy postępowanie araba będzie sylogizmem innej natury. Zapowiedź gościnności, nakazana przez tradycyę i uświęcona przez Koran, powiada, że nawet wrogowi podasz posiłek, kiedy ukryje się w twoim namiocie. Widok nieprzyjaciela, który to uczynił, staje się przesłanką, dostarczoną przez szczególny splot okoliczności, wreszcie rodzi się poczucie obowiązku, że należy oszczędzać wroga, póki jest w moim domu, i broń wypada z rąk. Otóż każda więź społeczna, to taki sylogizm zbiorowy, złożony z mnóstwa pojedynczych, to system, powiedzielibyśmy, sylogizmów. Naród jest także sylogizmem zbiorowym, zarówno natury logicznej, jako też teleologicznej — sylogizmem wierzeń i obowiązków. Rozkazy i nauki, prawa i dogmaty, przepisy wiedzy i przyzwyczajenia, jakie oglądamy dokoła siebie, to założenia sylogizmu; każdy z członków gromady społecznej formułuje odpowiednią przesłankę pod wpływem warunków życia codziennego, kiedy wypada zastosować w praktyce istniejący dogmat lub prawo, wreszcie wnioskiem w tym sylogizmie społecznym jest to, na co się zdecydował ów pojedynczy okaz — to, co zgodne z zasadami bytu narodowego. W każdej spójni społecznej istnieje pewna liczba zapowiedzi, związanych z sobą w sposób mniej lub więcej zwarty a zależny i stanowi historyczny dobytek narodu, jego wiedzę i doświadczenie, jego — ducha. Ta suma dogmatów narodowych bywa stale powiększana przez „wynalazki“: nowe idee, nowe uczucia zbiorowe, przepisy zwyczaju, słowem wszystko podlega przekształcaniu. Jedne z nich są aktami wiary: istnieje Bóg, który rządzi światem, lub: przyroda rozwija się mocą własnego jej przynależnego parcia i jedne wydarzenia wypływają z innych, albo stanowią akty obo-

---

Orla.

O, niech zbrzydnę dla wszystkich, prócz ciebie, niech każde męzkie oko zamyka się wstrętem przede mną, niech małpy wzdrygają się na moją szpetność, niech budzę tylko litość i odrazę całego stworzenia... Ty jeden widź mnie piękną... Arjosie kochany, czy gromada tu nie, owróci?

Arjos.

Mieli powędrować dalej, może jednak, domyśliwszy się naszej ucieczki, zechcą nas osaczyć, zwłaszcza że Ukor oddawna gorzeje żądzą posiadania cię wyłącznie dla siebie. A i Alrun, który teraz najwięcej wymordował nieprzyjaciół, odezwał się, że powinni go nagrodzić tobą.

Orla.

Najmiłosierniejszy z bogów, spraw, niech szczęście ciągle tańczy przed nimi, śmieje się i wabi ich w najdalsze okolice.

Arjos.

Gdzie ukryłaś dzieci?

Orla

Stary je tu ułożył w żłobku skały i uśpił.

Arjos.

To moje, prawda Orlu, tylko moje? Ty do nikogo nie należałaś?

Orla.

Jak serce twoje tylko do ciebie.

Arjos.

Czemuż urodziłaś dwoje?

Orla.

Nie wiem. Ale patrz, że chłopczykowi ja dałam twarzyczkę, a dzieweczce ty.

Arjos.

Tak, wierzę ci, gołąbko. Dobry staruszek także śpi?

Orla.

Osłabł.

Arjos.

Nie oddycha — sztywny — umarł!

Orla.

Z głodu. A dzieciom przygotował śniadanie z kilku jajek ptasich i poziomek.

Arjos.

Zawsze był dla mnie dobry i ojcem mojim się nazywał. Zacny człowieku, pocałowałbym duszę twoją, gdybym wiedział, gdzie ona przy twojem ciele siedzi. Niech ci w niebie wszystkie rozkosze służą.

Orla.

Trzeba go ziemi oddać.

Arjos.

Nie mam czem ani wykopać grobu, ani dobyć ognia. Zresztą nie można zapalić stosu, bo by nas dymem zdradził.

Orla.

Wpuśćmy go do rzeki i poprośmy, ażeby go daleko stąd odniosła.

Arjos.

Leciuchny, jak uschnięty krzak korkowy. Ty Orlu zabierz dzieci. Idźmy spiesznie.

Orla.

I ostrożnie. Ty bądź wzrokiem a ja będę słuchem. Tędy najbliżej do rzeki... Przez wąwóz widać jej grzbiet połyskujący. Śpijcie, malońkie, ja was nie utopię...

Arjos.

Ale po co masz się trudzić? Zostań, ja sam ciało odniosę i zaraz tu przylecę.

Orla.

Tylko nie każ mi długo czekać — dreszcze biegają po mnie, jak jaszczurki.

Arjos ze zwłokami starca na ramionach odszedł ku rzece.

Orla.

Wspaniałomyślne słońce, które nie odmawiasz swych łask nikomu i które wszy-

wiązku: powinieneś dbać o bliźnich twoich i za kraj oddać ostatnią kroplę krwi twojej, lub: bacz tylko na własny interes, dobro publiczne nie potrzebuje, ażeby o nie się troszczono. Założenia te, wchodzące w skład wielkiego sylogizmu społecznego, są wypisane w kodeksie i konstytucyi, w urządzeniach wiary, podręcznikach wiedzy, w poglądach etycznych i artystycznych, oraz znajdują się pod opieką specyalnych kół, które dbają o to, ażeby wnioski, wyciągane przez kogoś, były zgodne z przesłankami, lub pracują nad rozszerzeniem założenia narodowego. Zresztą, zgodności w zakresie wielkiej przesłanki społecznej trudno się doszukać, zwykle bowiem istnieje kilka sprzecznych ze sobą i rozwój polega właśnie na wyrugowywaniu jednych z pośród nich, na zachowaniu innych. Odbywa się zaś to w sposób rozmaity: drogą wojen i sojuszów, zatargów i kompromisów, chociaż zawsze w zakresie związkowej centralizacyi, tj. rozleglejszego sylogizmu społecznego. Każde takie lub inne rozwiązanie odpowiada przebiegowi w mózgu indywidualnym: wojna np. — to upostaciowanie dwóch sprzecznych sylogizmów. Weźmy chociażby wyprawy krzyżowe. Chrześcianom przewodniczył sylogizm natury następującej: „Chcemy po śmierci znaleźć się w raju, niebo zaś zapewnimy sobie, jeśli umrzemy, walcząc o grób Chrystusowy, zatem winniśmy wyruszyć przeciwko muzułmanom i z rąk niewiernych odebrać tak świętą pamiątkę.“ Tymczasem wyznawcy islamu rozumowali: „Pragniemy uczcić z naszym prorokiem, otóż wytępienie psów-chrześcian otworzy nam przybytek wiecznego szczęścia, powinniśmy przeto bronić Jeruzalemu przeciwko krzyżowcom!“ Wojna — powiada Tarde — to upostaciowanie społecznego „tak“ i społecznego „nie,“ odpowiada, w przebiegu logiki indywidualnej, szalowi obłąkańczemu i kończy się albo przez powrót do zdrowia, tj. przez kompromis pomiędzy założeniami sprzecznemi, lub też przez śmierć — zagładę jednego z nich.

Między innemi zasługują na uwagę wywody Tarde'a co do historyi, posiadające swoją wartość niezależnie od zasadniczej myśli, przyświecającej jego *Logice*. Życie indywidualne, powiada on, to nieustający napływ nowych wrażeń i wiadomości. Czy ktoś zdołał znaleźć—pyta on—jakąś prawidłowość w tym natłoku kalejdoskopów świata zewnętrznego? Dopiero wtedy, kiedy weszły one do jaźni, budujemy pomiędzy niemi zależność za pomocą sylogizmów i wmieszczamy je w kategoryach czasu i przestrzeni, siły i materyi. Podobnie dzieje się w rozwoju mózgu społecznego, zdarzenia następują po sobie bez żadnej głębszej prawidłowości i porządek historyczny istnieje dopiero w wytworach przebiegu historycznego, w różnego rodzaju gramatykach, które wiążą pomiędzy sobą różne założenia, a zatem w gramatyce języka, w kodeksach prawa, w systemach teologii i filozofii Możemy tylko badać ewolucyę każdej z tych gramatyk w różnych epokach dziejowych i rozwój stosunku do siebie różnych sylogizmów. Tarde, hołdując swojej metodzie tłomaczenia objawów mózgu indywidualnego na język społeczny, z łatwością odnajduje prawa, rządzące tą dziedziną. W postępie życia zbiorowego spostrzega on trzy kolejne fazy. W pierwszej epoce założenia istniejące są zgoła z sobą nie powiązane, istota ludzka nie spostrzega pomiędzy niemi sprzeczności ani zgodności. W miarę rozwoju sprzeczności, zwracają uwagę, powstaje walka, posługująca się niekiedy środkami takimi, jak stosy. Wreszcie ideał, ku któremu coraz bardziej zmierza postęp historyczny, to stworzenie najzupełniejszej zgodności.

Przedstawiliśmy punkty zasadnicze nowej teoryi o istocie społeczeństwa. Czytelnik, któryby pragnął poznać szczegóły, może uprzytomnić je sobie bez pomocy Tarde'a. Niechaj weźmie do ręki podręcznik logiki i tłomaczy jej zasady na język społeczny, a otrzyma całokształt doktryny, że społeczeństwo jest mózgiem. Słowem, nowy przyczynek do socyologii, wypracowany przez socyologa francuskiego, to dykcyonarz psychologiczno-społeczny. Uwaga ta wraz z paru poglądami, wypowiedzianymi przez nas na wstępie, zwalnia nas od obowiązku oceny nowej książki. Powiemy tylko, że jest ona płodem pracy na wskroś dedukcyjnej, co nie jest jeszcze wielkiem nieszczęściem, która wychodzi z założeń, bardzo jałowych, a to stanowi już wadę zasadniczą. Bynajmniej zresztą nie chcemy powiedzieć, aby nie dało się rozpatrywać społeczeństwo z tej strony, z jakiej to czyni Tarde. Może istotnie posiada on słuszność. Nasz główny zarzut polega na czemś innem, mianowicie na tem, że tego rodzaju dociekania są zupełnie bezpłodne i ani o włos nie posuwają nawet wiedzy, że wskrzeszają w teraźniejszości dawną scholastykę, świadczącą często o olbrzymim dowcipie umysłów, ale z gruntu czczą i jałową. Tysiącolecia mogą minąć w takich rozprawach, i tajemnice przyrody pozostaną tajemnicami.

L. Krzywicki.

Surowica. Instytut medycyny doświadczalnej w Petersburgu od paru miesięcy pracuje nad wytworzeniem nowego środka przeciwbłoniczego. Prawdopodobnie w końcu bieżącego miesiąca a najdalej w lutym zakład będzie już miał własne zapasy. Tymczasem zaś zawarł umowę z firmą „Meister Lacius i Brüning,“ która zobowiązała się dostarczać surowicy w znacznych ilościach. Na posiedzeniu d. 3 b. m. postanowiono środek ten stosować już w praktyce. Surowica wysyłana będzie do instytucyj rządowych, publicznych i osób prywatnych, dla tych ostatnich jedynie z przepisu lekarza, odpowiedzialnego za swoje rozporządzenia. Pierwszeństwo mieć będą żądania, adresowane z miejscowości, dotkniętych epidemią dyfterytu. Preparat, pochodzący z zagranicy, wysyłany będzie w oryginalnem opakowaniu, bez wszelkich przeróbek w instytucie. Środek ten sprzedawany będzie ściśle po cenach kupna. Naczynia z surowicą są trojakie: nr. 1 (600 jednostek normalnych antytoksyny) po rs. 3; flaszka nr. 2 (1,000 jednostek) po rs. 5 k. 50 i nr. 3 (1,500 jednostek) po rs. 8. Listy należy adresować na imię dr. S. M. Łukjanowa.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Olive Schreiner: Historya jednej fermy afrykańskiej.— Sarah Grand: Kobieta zbyteczna.

Lubię, gdy kobiety piszą o kobietach. Cóż my możemy wiedzieć o nich ze spostrzeżenia, z doświadczenia? Prawie nic. Przy tych olbrzymich różnicach budowy fizycznej i duchowej, jakie zachodzą między kobietą a mężczyzną, czyż warto zadawać sobie żmudną pracę odgadywania rebusów, do których klucza w znacznym stopniu mogłaby dostarczyć tylko logika obłudy, gdy daleko łatwiej jest dać kobiecie do ręki pióro. Niechaj piszą, niech się spowiadają. Autorstwo jest spowiedzią.

Mamy na widoku kilka powieści, napisanych z talentem i szczerością przez kobiety. Z powieści tych dowiadujemy się rzeczy, o jakich mężczyznom, filozofom

---

stko widzisz, nie wydaj nas prześladowcom! Niebiosa i góry zamilczcie przed nimi tajemnicę naszego schronienia! Wietrze, nie zanieś do nich odgłosów naszej mowy; zioła i trawy, wyprostujcie swe źdźbła, które idąc naginamy; gałęzie drzew, liście, doliny i potoki nie wskażcie drogi do naszej kryjówki! Spojrzcie na nasze obecne szczęście i ulitujcie się nad przyszłą niedolą! Miłosierdzia, miłosierdzia, miłosierdzia wszystkie twory i duchy!

Arjos powrócił.

Arjos.

Złożyłem go na miękkich falach rzeki; błagałem ją, ażeby go niemi owinęła i duchem szybko niosąc, ukryła na dnie morza. Pochwyciła go natychmiast i odbiegła. Teraz Orlo my utońmy w głębiach puszczy.

Widok 4.

Słońce przetoczyło już swój krąg ognisty przez szczyt kopuły nieba, ale zlewało jeszcze strumienie żaru na ziemię. Ani jedną chmurką nie przesłoniło sobie źrenicy, jak gdyby chciało uważnie śledzić uciekających. Spiekota przyżegała wargi, a pot oblewał twarze Orli i Arjosa, który niósł dzieci obudzone i uśmiechnięte. Po długiem przemykaniu się krętemi ścieżynami, weszli w wąwóz głęboki, którego strome ściany porosłe były gęsto splecionym lasem. Z trudem wspiąwszy się na jedną z nich i wybrawszy miejsce osłonięte, siedli znużeni. Orla przyłożyła dzieci do piersi.

Arjos.

Musisz być głodna...

Orla.

Zapomniałam o tem. Chciałabym jednak co zjeść, aby małym mleka nie zabrakło.

Arjos.

Widzę tu blizko owoce, orzechy, jagody...

Orla.

Niech nic na świecie nie będzie dla mnie, abyś ty był ze mną. Jeśli mi drzewo nie da owoców, zdrój — wody, a słońce — światła, żyć będę. Ale jeżeli ty mnie opuścisz, ja znowu wpadnę w ręce Ukora lub Alruna.

Arjos.

Orlo moja, obetrzyj oczy po złym widoku, to on cię przypomnieniem dręczyć nie będzie... Ja miałbym ciebie porzucić?.. Dlaczego?

Orla

Może ci się sprzykrzę, może bać się będziesz, ażeby cię przy mnie nie zabili.

Arjos.

Nie mów tak, bo złe duchy, które z ponownością kolo nas krążą, słowa twoje pochwycą i potem ciągle będą za mną z ich echem biegały A ja wtedy nagnę sznurem wysoką palmę, przywiążę się do jej wierzchołka za szyję i puszczę — niech mnie udusi.

Orla.

Nie groź, drogi, bo zdaje mi się, że dotąd wszystko mi groziło, prócz ciebie. Niewdzięczna jestem! Dosyć tych strachów i utyskiwań! Zamiast ci dodawać otuchy, kwilę jak rozżalona zięba. Ach, gdyby nas gromada zostawiła samym sobie, służylibyśmy jej wiernie i zapieralibyśmy oddech w piersiach, ażeby innym nie zabierać powietrza, nie uszczknęlibyśmy ani jednej gałązki, ażeby im nie zmniejszyć cienia—prawda?

Arjos.

Nie łudź się. Jeżeli nas złapią, mnie wypędzą lub zabiją, a ciebie zabiorą i naprzód oddadzą Ukorowi. Widziałem jego oczy, gdy na ciebie patrzył— sypały iskry, jak gdyby w nich gniew z żądzą się krzesał. Gdyby on był jeden, dawnoby już jego dusza błądziła po równinach drugiego świata. Ale jeden ja właśnie jestem, a je-

i psychologom zawodowym serca kobiecego, nigdy się nie śniło.

Przyznam się, iż te spowiedzi kobiet są daleko bardziej interesujące i wzruszające niż męzkie. Bo gdy w mężczyźnie stado żądz zaczyna się niepokoić i ryczeć, prowadzi on je spokojnie do szlachtuza w sąsiednim zaułku, gdzie rzeźniczka miłości, zabija je jednym ciosem. Dla kobiet ta doraźna ekzekucya żądz nie jest dostępna—w nich one się wikłają, pogłębiają i dlatego spowiedzi kobiece tchną nie sceptyzmem, lecz gniewem i szczerością.

Do takich dzieł należy „Historya jednej fermy afrykańskiej," znanej w całej Angli; w ciągu kilku lat rozeszło się ono w kilkunastu wydaniach, ostatni — w 80,000 egzemplarzy.

Autorka, pani Oliwe Schreiner, głosi tu cały kodeks emancypacyi kobiecej: równość obojga płci wobec prawa i moralności, dostęp do wszystkich karyer i zawodów, zaznajomienie młodych dziewcząt z realnością życia i protest przeciw niewoli małżeństwa, nie opartego na miłości.

Ten ostatni punkt autorka zrozumiała w sposób nader swobodny i niezależny od żadnych przesądów.

Miłość nie jest bynajmniej harmonią, ona jest walką, a raczej skutkiem walki. Serce cudze trzeba podbić, zwyciężyć, aby je posiąść. Tylko z walki może buchnąć ogień namiętności. Z tych zapasów jedna strona wychodzi zwyciężona, a obie związane. Kto kocha swą swobodę, nigdy nie będzie jej wiązał z miłością. Zdaniem autorki, swoboda raczej z małżeństwem już pogodzić się musi, niż z miłością. Ponieważ ona jednak nie chce się wyrzec ani swobody, ani miłości, a małżeństwo uważa za konieczną instytucyę, więc oddziela tę ostatnią od uczucia i rozkłada je na dwu odrębnych biegunach. Logika trochę zawikłana: posłuchajcie tylko:

Lyndall, bohaterka powieści, ma kochanka, nie chce go wszakże za męża, wybiera natomiast sąsiedniego fermera.

— Co to za człowiek? — zapytuje zdziwiony kochanek.

— Głupiec zwykły.

— I pani woli wyjść za niego, niż za mnie?

— Tak, gdyż pan nie jesteś głupcem.

— Jestto zupełnie nowa przyczyna odmowy wyjścia za mąż.

— Jestto powód nader rozumny. Od tamtego będę zupełnie wolną, od pana nie."

I objaśnia mu, iż kobieta rozumna nie powinna się przykuć na zawsze do mężczyzny, który powoływałby w niej ku życiu i działalności tylko niższą stronę jej natury. Dąb zagłusza naokoło wszystko, co jest słabsze. „Kochałam, gdyż byłeś silny. Byłeś pierwszym człowiekiem, którego się bałam." W dłuższem pożyciu ona by go znienawidziła.

W tem oryginalnem oświadczeniu znajduje się, zdaniem naszem, myśl głęboka. Nie tyle, co miłość nie wytwarza stanów hypnotycznych i zatraty osobowości. Rzućcie naokoło siebie okiem. W każdem małżeństwie znajdziecie albo moralną, albo też umysłową ofiarę. Jest to zjawisko tak powszechne, iż go nawet nie spostrzegamy. Tam, gdzie na miejscu krytyki, niezależności zdań, przy rozstrzyganiu wszelkich kwestyi, występują, jako racye najwyższe i stanowcze, całusy i uściski, osobowość się zatraca.

Nadzieja połączenia mężczyzny i kobiety w doskonałej harmonii wydaje się być jedną z chimer nie do osiągnienia. Trzebaby w tym celu gruntownie zmienić całą naturę ludzką. W duecie miłosnym role mężczyzny i kobiety są fizyologicznie i psychicznie różne i dlatego o równości mowy być nie może.

Dlatego też w sprawach miłości przyszłość gotuje nam prawdopodobnie zjawiska, o jakich filozofom się nie śniło. Gdy kobieta nie zechce grać roli gliny, z której artysta ma zrobić piękny wazon, ani instrumentu, na którym on ma odegrać przepyszną symfonię, ona zażąda zupełnego oddzielenia miłości od reszty życia i pod tym względem sądzimy, iż pani Schreiner, ujawniła głęboką przenikliwość i niezależność wobec kobiecych sentymentalistów. Z tego wszakże nie wniosek, aby po za miłością trzeba było wkładać na siebie jarzmo małżeńskie—jak ona tego chce—wywołując w ten sposób wrażenie głębokiego wstrętu.

Jesteśmy jednak znowu w zgodzie z autorką, gdy Lyndall mówi kochanemu: „A zresztą lubię doświadczenia, lubię próbować. Pan tego nie rozumiesz." Tak, jest rzeczą umysłów śmiałych zrywać zasłonę Izydy, chociażby nawet kosztem pęknięcia serca i zniszczenia przyszłości.

„Poprosiłam pana, aby mu wyłożyć mój plan; jeżeli on się panu podoba, dobrze; w przeciwnym razie wychodzę za mąż w poniedziałek."

— Na czemże ten plan polega?

— Nie mogę wyjść za pana, gdyż nie chcę się krępować, ale zawieź mnie pan tak, jeżeli chcesz, do Transvaalu. Jestto po za światem. Ludzie, których tam spotkamy, nie zobaczą nas nigdy potem. Gdy miłość się skończy, powiemy sobie: dobranoc...

— Oh, moja droga, rzekł pochylając się nad nią z czułością, czemuż nie chcesz być zupełnie moją?

Potrząsnęła głową, nie spoglądając na niego.

— Nie, życie jest zbyt długie; ale pójdę z panem.

— Kiedy?

— Jutro."

Stało się jak przewidziała. On umiał wprawiać w życie tylko niższą stronę jej natury. Pomimo więc, iż go kocha, opuszcza go, nie zwracając żadnej uwagi na jego prośby i błagania. „Pozwól mi wrócić do ciebie—pisze do niej—moja droga, pozwól się otoczyć moją ręką opiekuńczą. Gdy będziesz moją żoną, nikt nie ośmieli się podnieść palca przeciw tobie. Nauczyłem się kochać cię rozumniej, czulej niż kiedyś; będziesz zupełnie wolna. Na litość wyjdź za mnie."

Otrzymała list ten w hotelu, gdzie musiała się zatrzymać dla porodu. Dziecko nie przeżyło kilku godzin. Odpowiedź brzmiała: „To jest niemożliwe. Dziękuję ci za uczucie, które mi świadczyłeś, ale nie mogę cię posłuchać. Nazwij mnie waryatką, głupią—na twem miejscu świat by tak postąpił; ale wiem, czego nie potrzeba i jaką powinna być moja droga. Nie mogę wyjść za ciebie. Będę cię zawsze kochała—ale na tem wszystko skończyć się powinno. Ja chcę widzieć i wiedzieć; nie chcę być związaną z człowiekiem, którego tak wielce kocham. Nie boję się świata—przyjmuję walkę z nim."

Trzeba przyznać, iż cytata powyższa więcej mówi o kobiecie, o tej stronie jej ducha, która jest zawsze w ukryciu, niż setki powieści, napisanych przez mężczyzn. Oni nam zawsze malują tchórzliwe gąski, tu mamy przed sobą niezależną bojowniczkę.

Przyzwyczailiśmy się względem kobiet do psychologii nader powierzchownej, a może i poczucie mniemanej wyższości nie pozwala nazbyt źle ich sądzić. I po co szukać nagości charakterów? Od sąsiada, z którym jemy przy wspólnym stole w restauracyi, wymagamy, aby był czysto ubrany. Jak wygląda pod szatą, mało nas obchodzi. Od kobiety wymagamy tylko piękna i elegancyi. One jednak same odsłaniają nam zadziwiające strony swych charakterów. Oto jeszcze przykład: Piękna

---

go ręka składa się z sił całej gromady, która mu ulega i służy. On teraz pieni się, jak wzburzone morze.

Orla.

Uciekajmy, uciekajmy, dopóki nogom ziemi starczy!

Arjos.

Abyśmy tylko nie spotkali innej gromady. Nie chcę żadnej, żadnej, bo każda mi ciebie odbierze! Chociaż nie oderwie cię tak łatwo ode mnie, jak wiśnię z drzewa. Kiedy o tem pomyślę, zdaje mi się, że we mnie siedzi lew z siłą, wąż z jadem i lis z przebiegłością. O, ziemia dużo wessie krwi tych, którzy staną między mną a tobą! Wypocznij tu, moja śliczna zorzo, ja odejdę, może ptaka lub wiewiórkę strzałą strącę.

Orla.

Nie odsuwaj się zbyt daleko, bo zaraz strachy mnie obskoczą.

Arjos.

Bądź spokojna, głos twój mnie dobiegnie. Skrzykniesz mnie łatwo.

Orla.

A gdy oi... ci... nadbiegną?

Arjos.

Niepodobna! Prostej drogi odrazu do nas nie znajdą, a krętą dużo im czasu zmitrężą. Zresztą, za chwilę będę przy tobie.

Pochyliwszy głowę, szybko przewinął się między gałęziami zakrzewia jak płomień i zniknął. Orla pozostała sama.

Orla.

Obudźcież się, małe śpiochy i pilnujcie matki otwartemi oczkami. A, wyłuskały wam się nareszcie z powiek miłe ślepki! Śmiech buzie wasze łaskocze... To znaczy, że w bliskości nie ma złego ducha... Czemu, chłopaczku, tak nagle się skrzywiłeś? Czy cię djablik uszczypnął? No, trzymajcie się mocno usteczkami piersi, bo was pogubię... Nie, nie zgubię.

Nagle zdala nadpłynęły i szeroko rozlały się w powietrzu fale okrzyków. Orla drgnęła, zbladła i wytężyła słuch.

Orla.

Arjosie, Arjosie! Czy hyeny skomlą? Jeszcze nie pora... wieczór nie wstał... Arjosie!

Arjos.

Biegnę!

Orla.

Może chmura na niebo wpadła i gniewa się... Arjosie!

Arjos.

Biegnę!

Orla.

Może oni... Arjosie!

Arjos.

Jestem! Co cię strwożyło?

Orla.

Słyszysz?

Arjos.

Jakaś zmącona wrzawa głosów...

Orla.

Coś złego zbliża się ku nam... Uciekajmy!.. Wietrze, pożycz nam skrzydeł!

Arjos.

To krzyczą ludzie... Ale przecie chyba nie oni...

Orla.

Ludzie — to źli!

Arjos.

Daj dzieci—posuniemy się głębiej w las.

Jak para spłoszonych saren rzucili się w gęstwinę, śród której powstał szmer, niby cichy głos Eliona, szepczącego ustami liści: spajajcie się serca ogniem miłości i nie bądźcie jako zeschłe orzechy, które robak przewierci, jądro wyje, a na jego miejscu szczyptę gorzkiego prochu zostawi. Miłość was ogrzeje, oświeci, umocni.

(D. c. n.)

Jersamine, jedna z gwiazd salonów londyńskich, ucieka w głąb Szkocyi, aby się uwolnić od związku małżeńskiego ze starym, obrzydliwym lordem Heriot, którego jej przeznacza rodzina. Spędza ona lato przy żniwach i na pasaniu owiec. Podobał jej się piękny, barczysty chłop, o płowych włosach i niebieskich oczach, Colin, który nie ma wprawdzie ani jednej myśli wytwornej pod czaszką, ale tchnie zdrowiem i obietnicą rozkoszy. Lato działa, krew się burzy; Jersamine przychodzi do wniosku: „Muszę mu się oddać lub umrzeć!"

Obawia się wszakże świata, przesądów, rodziny. „Nie śmiem! — woła—nie śmiem! Cała przyroda przeznacza mi go na kochanka. Wolę jego siły i prostotę, niżli całą kulturę londyńską. Mam dość kultury. Ale nie śmiem!" Nareszcie ulegnie sile namiętności. Przyjdzie na świat dziecko? To i cóż! I owszem, będzie ono zdrowo i piękne. Niechaj sobie znajomi londyńscy powiedzą, co zechcą. „Będę z nimi otwarta. Trzymam me dziecko na ramieniu i powiadam im: Jest to dziecko człowieka, którego kocham i któremu zawsze będę wierną, jakkolwiek nigdy więcej go nie zobaczę. Nigdy nie widziałam człowieka tak dobrego, tak uczciwego i tak pięknego; i wziął moje serce odrazu. Był to chłop, który żył w chacie i pracował w polu. Miał postać wspaniałą przy żniwach. Uczęszczał do szkoły, ale to nie ma żadnego znaczenia; nie czytał wiele, lecz natomiast mówił rzeczy pogodne i rozumne. Boję się, iż nigdy nie czytał wierszy, ale oczy jego były poematami. Nie miał przygód i nałogów. Był zdrów. Promieniała zeń taka potęga dobroci, iż wystarczało jego spojrzenie, abym się czuła lepszą. Nie mogłam wyjść za niego, gdyż byłam niezdolną do wykonania obowiązków, które przypadałyby w udziale jego żonie; ale kochałam go tak, iż oddałam mu się z dreszczem rozkoszy. A oto moje dziecko."

Fantazya wielkiej damy dla chłopa jest nam bardzo zrozumiała ze względu na żywiołowe piękno, które w nim artystka odszukać może.

Ale że w kobietach istotnie takie popędy istnieją i że one ośmielą się je wypowiedzieć, tego nie można było się spodziewać, zanim kobieta sama o sobie nie zaczęła pisać.

Z charakterystyk, pisanych przez mężczyzn, kobietę można było uważać za rodzaj dzikiego, który ma na sobie torbę z fetyszami i w każdym danym wypadku doskonale wie, który z nich trzeba użyć: ząb żmii od złego spojrzenia, muszlę—gdy kot przebiegł drogę itd. Wydawało się, iż są to istoty mocno zahypnotyzowane, mające kilka pewników, według których sądzą i urządzają życie całe i wszechświat. Okazuje się wszakże, że i one w ukryciu doświadczają szlachetnej boleści wiedzy i zwątpienia. Zresztą impertynencyi „d'une grande dame" wszystko jest dozwolonem, nawet kaprys dla chłopa. Colin wszakże okazuje się zwykłym, bogobojnym „chamem." Gdy się znalazł sam na sam w stodole z piękną Jersaminą, która mu zawisła na szyi, wyobraził sobie, iż ona chce go obrać na męża i nie go z szacunku wyprowadzić nie może. „Nie pani złego nie zrobię — Colin nie chciałby nigdy pozbawić honoru swej *żony*." Ten osioł wyobraził sobie, iż byłby znakomitym mężem królowej salonów londyńskich, a w żaden sposób nie mógł zrozumieć roli, w której tylo się po nim spodziewano. Trzeba się było wyrzec idylli. Jersamina ucieka zniechęcona do Londynu, wychodzi za starego Heriota, który obdarzył ją dwojgiem dzieci skrofulicznych i napół przegniłych...

L. W.

ODCZYTY

Prof. Jerzy Boguski. *O bezpośredniem fotografowaniu barw.* — Prof. Władysław Natanson. *Materya i energia.* — Edw. Siwiński. *Znaczenie Towarzystw opieki nad zwierzętami i etyczny ich wpływ na społeczeństwo.*

Jerzy Boguski należy do najbardziej utalentowanych u nas popularyzatorów wiedzy fizyczno-matematycznej. Przy pomocy inżeniera Piotra Lebiedzińskiego w dziale doświadczeń dał publiczności wykład nadzwyczaj ciekawy, pożyteczny i urozmaicony. Część pierwsza objęła ogólne zjawiska fizyczne, których streszczenie dla naszych czytelników byłoby zbyteczne. Najważniejszemi natomiast są świeże zdobycze wiedzy w tej dziedzinie, do jakich zaliczyć należy możność przenoszenia i utrwalenia barw na fotografii. Oczywiście zanim do tego specyaliści doszli, musieli wrócić do zjawisk, badanych dawniej przez uczonych i nie poprzestając na teoryi tudzież faktach stwierdzonych, czynić mozolne doświadczenia. Więc obok wszelkich właściwości barw, wywoływanych drogą połączeń chemicznych, zwrócono uwagę także na ustrój siatkówki ocznej, a więc i na dziedzinę fizyologiczną i psychologiczną. To już jest kwestya powstawania barw w naszej świadomości, przedstawiająca bogate pole przyszłym badaczom. Dociekania dzisiejszych stworzyły między innemi zabawkę dla profanów, a przedmiot, dający dużo do myślenia uczonym. Są to tak zwane krążki widmowe Benhama, których tarcza jest podzielona na dwie równe części: czarną i białą, na tej ostatniej są umieszczone czarne łuki współśrodkowe (każdy na przestrzeni 45°). Gdy ową tarczę puszcza się w ruch obrotowy, oko otrzymuje wrażenie pierścieni różnobarwnych, których układ przy obrocie w lewą stronę, daje kolory w porządku *a*, *b*, *c*, *d*, a w prawą odwrotnie: *d*, *c*, *b*, *a*. Dotychczas uczeni starają się to zjawisko objaśnić istnieniem na siatkówce oddzielnych centrów dla każdej barwy. Bądź co bądź w przyszłości może ono doprowadzić do cennych odkryć i rozszerzenia widnokręgów wiedzy. Pomijając sposoby otrzymywania widma barwnego, musimy zaznaczyć, że nowsi badacze posługiwali się starą metodą Newtona, która dzięki pracom Maxwella, Helmholtza i Clercka, znowu wyszła na widownię nauki. Owoce pracy tych uczonych dopomogły właśnie Lippmannowi do pochwycenia sposobu fotografowania barw. Próby otrzymywania ich ze związków chemicznych, nie doprowadziły w tej mierze do pożądanych rezultatów; spróbowano więc wyzyskać pierścienie Newtona lub zjawisko nalotów barwnych na szkle. (Każdy z czytelników widział nie raz tę charakterystyczną różnokolorowość starych szyb, zależną od układu cząsteczek). Jak wiadomo, zasadą fotografii jest pod wpływem światła rozkład cząsteczek soli srebrnych w warstwie żelatyny albo kolodyum na papierze fotograficznym. Barwy mogą się układać odpowiednio do grubości powierzchni tego proszku, cała zaś sztuka polega na nadaniu takich różnorodnych grubości za pomocą działania światła na właściwe punkty, tj. aby każda warstewka odpowiadała barwie widma słonecznego. Doświadczenia w tej mierze czynili: dr. Leuker, Seebach i w końcu prof. Lippmann, który próby doprowadził do tej doskonałości, że dziś już można utrwalić barwy na fotografii.

Niepodobna tu, dla braku miejsca, wykładać technicznej strony wykonywania tego rodzaju fotografii. Zaznaczyć tylko musimy, że dotychczas fotografie takie nie mogą być reprodukowane, gdyż odrazu wychodzą jako pozytywy. Otóż usiłowano dojść do doskonałości odtwarzania obrazów innym sposobem i osiągnięto względnie pomyślne rezultaty. Mianowicie można już dziś drukować obrazy kolorowe trzema barwami. Metoda owa, znana pod nazwą fotochromotypii (*Dreifarbendruck*), doszła do największej doskonałości u Vogla w Berlinie, Housnika w Pradze czeskiej, wreszcie w Ameryce. Należy przypuszczać, że technika na tej drodze będzie czynić ciągłe postępy, zabije zupełnie oleodruki i z czasem pójdzie w zawody ze sztuką. Artyści malarze, prawdziwie utalentowani, mogą być zupełnie spokojni; „maszynowy" wyrób obrazów nie wyrządzi im krzywdy. Trudniejsza będzie walka miernoty, która zalewa tandetą świat cały. Wyrób tego rodzaju obrazów udoskonalonych nie zniży jednak sztuki i zmysłu artystycznego w masach oświeconych. Przeciwnie, można się zgodzić z prelegentem, że ten „produkt" udoskonalony podniesie smak śród ogółu i rozbudzi zamiłowanie piękna. Dodajmy nawiasowo, że ważnym tu czynnikiem są przystępne ceny, że zatem zamiłowanie to w naszem społeczeństwie mogliby rozwinąć sami artyści przez zniżenie tych bajecznych sum, których nikt nie płaci.

„Poznać w przyrodzie prawidłowość możliwie najszerszej, najgłębiej—oto jest cel naszej nauki, cel niezmierny, jak sama przyroda." Cele te p. Natanson naszkicował w swoim odczycie. Prawdziwem zadaniem umiejętnej fizyki jest odpowiedź na następujące pytanie: ile możemy odnaleźć w przyrodzie prawidłowości, posługując się kilku zasadniczemi abstrakcyami? We współczesnej nam epoce ten odłam nauki wprowadza przeważnie cztery: abstrakcyę czasu, przestrzeni, materyi (do której należy dołączyć odrębną abstrakcyę eteru)—wreszcie energii. Dwie ostatnie prelegent najobszerniej traktował, lecz w formie uogólnień. W zmiennych i najczęściej trudnych do obliczenia dla nas zjawiskach przyrody jest pewna *miara* co do natężenia. Uderzając sztabę młotem rozgrzewamy ją tem silniej, im uderzenia są mocniejsze. Pomiędzy uderzeniem a ogrzaniem się jest w natężeniu pewna odpowiedniość. Energia nie ginie i nie powstaje w wiecznem dzianiu się zjawisk. Przekształca się w tysiączne postacie, ale wszystkie one dają się ze sobą porównać, można je rachować i mierzyć. Energia jest nicią wspólności, która przechodzi przez wszystkie zjawiska. Materya jest to bardzo stara, silna i mocno w umysłach naszych zakorzeniona abstrakcya. Wiele wrażeń prowadzi nas do utworzenia pojęcia materyi. Nie ma też bardziej rozpowszechnionego błędu, powiada prelegent, niż przekonanie, że „materya na pewno istnieje." Fizyk nie uprzedza się do abstrakcyi materyi, musi ciągle nią się posługiwać, więc rozumie, że pojęcie materyi jeszcze nam dzisiaj jest potrzebne. Abstrakcye czasu, przestrzeni, energii, wynurzały się z umysłowego chaosu z umysłową jasnością, każda z nich pozwala nam dostrzec w przyrodzie troszkę przyczynowości, daje poniekąd możność obejmowania i przewidywania zjawisk, a zatem w pewnym stopniu i względzie *wyczerpuje* to, cośmy nazywali dawniej „własnościami i działaniami materyi." Wyobraźmy stan nauki taki, iż szereg zasadniczych abstrakcyj jest przedłużony, doprowadzony do końca, złożony z najwłaściwszych, potężnych, zgodnych ze sobą abstrakcyj. Pojęcie materyi nie będzie wówczas potrzebne. Lecz czasy takie są bardzo odległe. Pomyślmy, że odróżniamy dzisiaj kilkadziesiąt gatunków materyi, że istnieje ogrom faktów, wskazanych przez chemię, że nie znaleźliśmy jeszcze początku drogi, która pozwoliłaby jakościowe różności chemiczne sprowadzić do różnic ilościowych—a ujrzymy dokładnie ubóstwo nasze w wielkich przyrodniczych abstrakcyach. Zatem pojęcie materyi jest nam jeszcze potrzebne, gdyż okrywa sobą całą „resztę"

uogólnień przyszłości, do których nie dorośliśmy. Abstrakcyę materyi dopełnia abstrakcya powszechnego eteru. Świetlna (promienista) energia dochodzi do nas od słońca, mgławic i gwiazd przez eter. Przewodzi on swe fale prędzej 60 tysięcy razy, niż szkło najsztywniejsze. Czyżby więc był podobny do bardzo rzadkiej a wielce sztywno-sprężystej galarety kosmicznej? Jest on albo nieskończenie trudno ściśliwy, albo ujemnie ściśliwy, jak piana, tj. sam siebie nie trzyma się samodzielnie, lecz pozostawiony sobie rozpłynąłby się do nieskończoności lub zgęściłby się, skurczył na nic w jednej chwili; zachowuje zaś równowagę jakimś dziwnym sposobem, zewsząd przez coś obejmowany i podtrzymywany, albo może mocą swej rozciągłości ratuje się od katastrofy. W nauce przez długi czas uważano bezwładność materyi za fakt fundamentalny, opór zaś i tarcie za dzieło jak gdyby przypadku, za nieznaczną i podrzędną wadę w doskonałym mechanizmie wszechświata. Dziś rozumiemy, że ów efekt podrzędny jest objawem prawa najpowszechniejszego — zanikania zakłóceń, prawa uspokajania (rozpraszania się) energii. Bezwładność zaś materyi musimy umieścić w jednym rzędzie z właściwościami czystego eteru. Powszechną cechą tego ostatniego jest inercya, a materyi, przeciwnie — koercya.

Z tego bardzo pobieżnego streszczenia wykładu czytelnicy chyba mogą ocenić, że odczyt p. Natansona jest poważną pracą naukową, niezmiernie ciekawą dla garstki, ale nużącą i bezowocną dla słuchaczów nieprzygotowanych. Szkoda więc jej na salę odczytową!

P. Siwiński wystąpił z przedmiotem na pozór błahym, w większości przez ogół nasz lekceważonym. O zadaniach Towarzystw opieki nad zwierzętami mało kto u nas wie dokładnie i dlatego często słyszymy sarkania, że więcej zajmujemy się czworonogami, niż ludźmi. Nie zapominajmy atoli, że ta „zabawka“ obok celów utylitarnych może mieć doniosłe znaczenie wychowawcze. „Skłaniać ludzi do ludzkiego obchodzenia się ze zwierzętami — mówi prelegent — znaczy tłumić w ich sercach dzikie i okrutne popędy; zaszczepiać w sercach dzieci współczucie dla wszelkiego cierpienia, znaczy umoralniać je i uszlachetniać.“ Tymczasem, jak wiadomo, dzieci najbardziej są skłonne do okrucieństwa, do dręczenia zwierząt. Przytem przypomnijmy sobie, ile szkody na wsi wyrządza wybieranie jaj i piskląt, zrzucanie gniazd itd. To też godna pochwały jest dążność ministeryum oświaty we Francyi ku temu, ażeby nauczycieli szkół elementarnych skłonić do zakładania śród dziatwy towarzystw opieki nad zwierzętami. Dodajmy, że już uczeni zwrócili uwagę na rozwój u człowieka instynktów krwiożerczych za pomocą mordowania zwierząt, a rzeźnicy stanowią odrębny typ o silnie zaostrzonych tego rodzaju instynktach, w Anglii zaś ludzie, używani do szlachtuzów, są pozbawieni praw obywatelskich. Jest to poniekąd urzeczywistnienie marzeń antropologów, ażeby do tego rodzaju posług używano zbójów, których natura gwałtownie ciągnie do przestępstw; tym sposobem ich energia zbrodnicza byłaby obrócona na pożytek. Szkoda, że p. Siwiński w swoim odczycie nie zaznaczył i nie oświetlił tych właśnie szczegółów. Rozwój cywilizacyi nie idzie w parze z roz... em uczuć. Pielęgnowanie więc tych ostatnich bez względu na formy i sposoby, jest zjawiskiem pożądanem. Oczywiście, jeżeli będziemy uważać pieszczenie piesków pokojowych i ubieranie ich w kapturki, za „opiekę nad zwierzętami,“ łatwo te usiłowania można ośmieszyć. To samo, jeżeli zechcemy budować dom schronienia dla zniedołężniałych czworonogów, wówczas, gdy ludzie stargawszy swoje siły w pracy długoletniej, nie mają przytułku i strawy. Odrzućmy sztuczny sentymentalizm, śmiesznostki i przesadę, a będziemy mieli jedno z zadań, które należy traktować poważnie.

—

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Będziemy mieć tedy niespodziankę noworoczną — podwyższenie taryf osobowych i przewozowych na kolejach państwowych w Austryi. Czyż nie jest to słuszne, co powiedziałem, że jesteśmy obywatelami kraju anormalności? Wszystkie państwa dążą do uprzystępnienia komunikacyi zarówno dla ruchu ludności, jak i handlu i w ten sposób do zwiększenia dochodów państwa — w Austryi inaczej: ona, jeżeli uczyni krok naprzód, to namyśliwszy się potem, robi dwa wstecz. Trzeba przyznać, że w tym zakresie nasi ministrowie „rodacy“ i wysocy urzędnicy, oczekujący z upragnieniem urzędu ministrów, bodaj „bez teki,“ prowadzą fiskalną politykę z wielkiem powodzeniem i podejmują się chętnie roli, jakiej żaden inny uczciwy człowiek brać nie chce. Widzieliśmy tego niejednokrotne przykłady. Inne państwa doprowadzają równowagę budżetową przez podniesienie bogactwa narodowego, Austrya — przez systematyczne obdzieranie ludności, przez pozbawianie jej owoców pracy, trudów, zabiegów, w ten sposób, zamiast podnosić rzutkość ekonomiczną—zabija ją lub osłabia, bo nikt nie chce pracować na to, ażeby większą część owoców tej pracy oddał jako podatek. Politykę wyzyskiwania narodów, składających państwo austryackie, prowadzą ministrowie-polacy, odgrywając taką samą zupełnie rolę sług niemieckich, jaką odgrywali książęta słowiańskich obotrytów na północy, którzy pozorami wolności doprowadzili ludność do niewoli i zniemczenia, dopomogli z czasem do utworzenia z krajów słowiańskich — Prus niemieckich. Dunajewski pozyskał sobie w Galicyi sławę Herostrata, a wzbogaciwszy rząd i siebie nędzą milionów, teraz używa dobrze zasłużonego spokoju. W ślady jego idzie Biliński, generalny dyrektor kolei austryackich. Kiedy ministrem był niemiec, zdołano na kolejach państwowych wprowadzić taryfy strefowe — okazały się one dobrodziejstwem dla ludzi, a skarbowi państwa przynosiły przeszło pięć milionów guldenów nadwyżki. Czyż można więcej żądać? Od chwili objęcia generalnej dyrekcyi kolei przez Bilińskiego, który uchodzi za ekonomistę (był profesorem ekonomii i nawet wydał jeden tom *Ekonomii polit.*) — wprowadzono oszczędności: zmniejszono mianowicie personel służbowy, a pozostałemu powiększono godziny pracy; następnie zaprowadzono ulepszenia kardynalne na drogach galicyjskich — komendę: fertig i wzmocniono język niemiecki w stosunkach i administracyi. Teraz przyszła kolej na podwyższenie taryfy. Rok ubiegły był zarówno dla kolei państwowych, jak i prywatnych nader korzystny, dochody z kwartału na kwartał zwiększały się, tak iż bilans roku 1894 dla dróg państwowych zamknięty będzie nadwyżką około 6 mil. guldenów po nad dochód, jaki dawały te same koleje przed zaprowadzeniem biletów strefowych, a jednak p. Biliński pragnie podwyższyć znowu taryfę osobową — *cui bono?* W celu podniesienia płacy urzędnikom. Czy nie jest to komedya przypodobania się? Niechże nam wolno będzie zapytać p. dyrektorów, co się stało z oszczędnościami, uzyskanemi przez wydalenie urzędników? Może pensye, odebrane jednym, wystarczą na powiększenie płacy pozostałym? Podwyższenie taryfy osobowej, a wkrótce i przewozowej, która już ma nastąpić w r. b., spowoduje znowu nadwyżkę kilku milionów w dochodach, gdy zwiększona pensya urzędnikom wyniesie 200—300 tys. złr. — jak to wszystko pogodzić?

Trudno na szali rozumu i logiki kłaść to, co się zrodziło z dworactwa i wygórowanej ambicyi pchania się na wierzch. Gdzie chęć władzy panuje nad rozsądkiem, prawdą i uczciwością publiczną, tam pożytecznych owoców z pracy spodziewać się nie można.

Inny pyszałek, człowiek wielce zdolny, ale bardziej jeszcze ambitny, Bobrzyński, prezydent rady szkolnej — także aspirant do krzesła ministeryalnego — rozpoczął oczyszczanie szkół z dzieci chłopskich, mieszczańskich i urzędniczych, które nieraz z dalekich stron, o chlebie i wodzie przybywszy, kosztem krwi i życia zdobywały naukę, tuląc się po suterenach „kątem“ lub w na pół ciemnych izbach stróżów i sklepikarzy. Pan prezydent kazał im — którzy chleba nie mają i nikt nie troszczy się o to, czy go mieli — ubrać się w eleganckie płaszcze, mundury z galonami, czapki z liściem — ledwie nie wawrzynu. Wszystko to dziać się miało w imię wielkiej, głębokiej myśli, niezrozumiałej dla zwykłych śmiertelników — zwrócenia ubogiej młodzieży do szkół fachowych. P. Bobrzyński o jednem zapomniał albo nie wie, że szkoła fachowa dobra jest wtedy, gdy w przyszłości zabezpieczyć może biedakowi chleb powszedni; jeżeli mu tego nie daje, staje się bańką mydlaną, złudzeniem, rozpaczą, nieszczęściem człowieka. Każdy widział pszczoły, latające uporczywie nad kwiatkiem koniczyny, bo w okwieciu roślin miód czują — nie każdy jednak wie, że odlatują z niczem, bo miód zbyt głęboko ukryty, tak że go dostać nie można. Czem miód dla pszczoły w kwiecie koniczyny, tem dla ludności, żyjącej z pracy, szkoła fachowa w Galicyi: ona wabi ku sobie mnóstwo ludzi, chętnych do pracy, ale rozczarowanie następuje dopiero później, gdy się widzi, że po ukończeniu takiej szkoły zarobku zdobyć nie można lub niesłychanie trudno. W kraju, jak Galicya, gdzie nie ma handlu, tylko sklepikarstwo, gdzie nie ma przemysłu, tylko wyzysk, nie można ani sztucznie zakładać szkół fachowych, ani spędzać do nich uczniów przemocą. Widzimy doskonale, iż szkoły fachowe w Galicyi są nadzwyczaj mało uczęszczane, podtrzymywane z ogromnym wysiłkiem kraju, a żaden o własnej sile nie istnieje — czyż to nie jest najlepszym dowodem, że szkoły takie bardzo mało dają uczniom w przyszłości i dlatego są omijane? Dla pracy fachowej zbyt szczupłe u nas pole. Tam, gdzie się utworzyło jakiekolwiek ognisko przemysłowe, wszystkie wybitniejsze posady są zajęte przez niemców, czechów i żydów. Mimowoli zapytać trzeba p. Bobrzyńskiego, na jaką drogę on spycha dziesiątki tysięcy ubogiej młodzieży, która ukończywszy gimnazyum i uniwersytet bez mundurów, ma przynajmniej przed sobą urząd i szkołę, a po odbyciu studyów fachowych zwiększa szeregi głodnych i niezadowolonych. Przemocą na tej drodze nic robić nie można. Odpływy i dopływy sił roboczych do ognisk pracy nie są sztuczne, lecz odbywają się według warunków, jakie wytwarza życie ekonomiczne i państwowe pewnego społeczeństwa. Siły robocze, umysłowe muszą się zwiększać w stosunku do ilości ognisk przemysłowych i tylko wtedy życie ekonomiczne można nazwać prawidłowem i nieuciążliwem dla nikogo.

W takich palących pierwszorzędnych sprawach jak szkoła, bardzo rzadko i ostrożnie ktoś głos zabiera, ażeby sobie p. pre-

zydenta nie narazić; natomiast rozprawiamy gorąco o teatrze. Trzeba znać Lwów, ażeby wiedzieć, ile w tej drobnej na pozór sprawie kryje się sprzeczności. Przedewszystkiem Lwów jest miastem urzędniczem. Wypadek go uczynił stolicą Galicyi, a tym wypadkiem—było jego środkowe położenie geograficzne; z tej też racyi rząd wybrał go na stolicę administracyjną kraju i tu urządzono namiestnictwo, tuześrodkowały się wszystkie urzędy, miasto więc zaczęło napełniać się t. z. „funkcyonaryuszami“ (piękny polski wyraz—prawda?). Trochę rodzin niezależnych, które tu siedziały, wypłoszyła niemczyzna, a natomiast „lwi gród“ zaczął opanowywać ze wszech stron grzybek fiskalny, zwany biurokracyą. Dla ułatwienia czynności żywotnych tym śliźniom, posiadającym różną barwę (niemiecką czeską, a w końcu polską), żydzi założyli dystrybucye, potem niemcy i żydzi sklepy wszelkie, wreszcie, zarówno dla potrzeby panów oficerów austryackich jak i „cywilusów“ powstały „sklepy korzenne“ i „pokoje do śniadań,“ gdzie można stojąc pożerać kiełbaski, palić „skórzane“ cygara i—pluć na rozstawione obok „delikatosy.“ Na takiej podstawie zbudowano austryacki Lwów i na takiej też rozwija się pomyślnie teraz.

(D. n.).

Cho.

LIBERUM VETO.

Legendy w *Wiśle* o zapamiętałych tańcownikach. — Oryginalna kara. — Skąd pochodzi nazwa kaczki dziennikarskiej. — Okrutna niesprawiedliwość względem pewnego hodowcy. — Obfity lęg. — Dziwna pretensya p. Radomczyka. — Zima na południu. — Wielka biała kaczka.

Ostatni numer *Wisły* zawiera wiele ciekawych przyczynków do etnologii ludowej, a między innymi legendy zapustne.

„Był owczarczyk w Mogilnie — opowiada baśń pierwsza — który miał flet zaczarowany. Kto głos jego usłyszał, musiał tańcować. Ksiądz nie wierzył pogłosce, poszedł do owczarczyka i kazał sobie zagrać. Chłopiec zagrał, a ksiądz musiał się na śmierć zatańcować.“

„Kilka dziewcząt w Kiekszu — mówi baśń druga — prało w niedzielę. Nie były w kościele, tylko poszły na tańce. Za karę musiały ciągle tańczyć (do końca życia).“

„W powiecie żnińskim — twierdzi trzecia — przy dworze z Popowa do Gącza, jest staw bagnisty. Stała tam niegdyś karczma, w której było zawsze dużo pijanych. Raz wszedł ubogi, prosząc o wsparcie, ale wyrzucono go za drwi. Wtedy powiedział: „Naswawoliliście się już dosyć, teraz będziecie za karę tańczyli, dopóki sobie nóg nie zedrzecie.“ Ubogim był sam Bóg. Swawolnicy tańczyli tak, że aż krew z nóg im popłynęła, potem karczma zapadła się i staw pokrył jej miejsce.“

Zwłaszcza ta ostatnia legenda jest bardzo pomysłowa i wymowna. Bo czyż to nie oryginalna kara kazać bezmyślnym grzesznikom zatańczyć się na śmierć! Krew im z nóg płynie, ciało sciera się, chcieliby odpocząć — nie! — tańczcie robaczki, dopóki ducha nie wyzioniecie. Taką wszakże przestrogą nie możnaby dziś oddziałać na zapamiętałych w żadnej karczmie, gdyż niktby w nią nie uwierzył. A jednak niesłusznie. W baśniach bowiem tego rodzaju zmyślonym jest tylko fakt, zresztą wszystko prawdziwe. Tylko fakt — bagatela! — zawoła ktoś z uśmiechem. Za pozwoleniem: czy Ikar istniał i miał woskowe skrzydła, które mu w słońcu stopniały? Nie. Czy Syzyf istniał i wtaczał pod górę kamień, który mu się ciągle osuwał na dół? Także nie. Czy Prometeusz istniał i był przykuty do skały przez Zeusa? Nie. A przecież mity te powtarzamy ustawicznie, wierzymy w ich mądrość, pomimo że nieprawdą jest w nich tylko — sam fakt. Czemuż więc nie mielibyśmy cenić legendy o pijakach karczmy żnińskiej, którzy za swawolę z rozkazu Boga zatańczyli się na śmierć? Kto podziela te uwagi, ten przyzna, że nietylko zabobon tkwi w następującej (czwartej) opowieści *Wisły.*

„Pod Liszkowem był przed laty zamek nad strumykiem. Pan zamku był nielitościwy dla poddanych i pędził dni na swawoli i rozpuście. Kara boża dosięgła go wszakże i zamek zapadł się w ziemię przy piorunach i błyskawicach. Rzeka rozlała się w jezioro, a park rozrósł się w lasek prześliczny. O godz. 9 wieczorem dawni mieszkańcy zamku wychodzą i tańczą do północy. Każdego też przechodnia zmuszają do tańców.“

Dante tyle wymyślił najrozmaitszych kar dla pokutników swego poematu—a ta bardzo pomysłowa nie przyszła mu do głowy. Z pewnością, gdyby o niej usłyszał od naszego ludu, byłby ją zużytkował dla odpowiedniej grupy — tych, co nawet Boga wyrzucą za drzwi, żeby im nie przeszkadzał tańczyć.

Redakcya *Wisły* czyni staranne poszukiwania rodowodu wszelkich przesądów, wierzeń, nazw itd. Otóż radbym polecić jej uwadze zbadanie, skąd powstała dla plotki dziennikarskiej nazwa *kaczki?* Wyjaśnienie to byłoby dla nas zajmującem, gdyż nietylko zadowoliłoby ciekawość teoretyczną, ale poznajomiłoby nas z historyą herbu „szóstego mocarstwa“ — prasy. Jest to przykro patrzeć codzień na sztandar tej potęgi, widzieć na nim wyobrażoną kaczkę i nie wiedzieć, skąd ona na nim się wzięła. Samą logiką trudno odgadnąć, bo przecież ten ptak nie ma ani bystrego lotu, ani donośnego głosu, tymczasem kaczki dziennikarskie obiegają kulę ziemską z szybkością iskry elektrycznej, a ich kwakanie brzmi tak mocno, że gdy odezwą się w Paryżu, za parę godzin słychać je w Warszawie. Tak cudowny twór nie powinien nosić zagadkowego imienia, ten twór, który kieruje całem naszem życiem. Bo jakaż siła działa w niem częściej i skuteczniej? Rano wstawszy, jeszcze przed śniadaniem, pod postacią dziennika zjadamy co najmniej dziesięć kaczek, potem trawimy, wieczorem znowu w tej samej formie spożywamy kaczki. Czy jakikolwiek produkt, nie wyłączając chleba i mięsa, zużytkowywamy w równie wielkiej ilości? To też przypuszczam, że czytelnicy byli wraz ze mną szczerze oburzeni na niegrzeczność i niewdzięczność, jaką przed paru dniami okazano w Berlinie pewnemu hodowcy kaczek. Żył tam sobie niejaki Hoppe, który trudnił się wyrabianiem i dostarczaniem prasie „wiadomości sensacyjnych.“ To zmyślił, że gdzieś oberwała się winda i zabiła kilkoro ludzi, to że kogoś oblano naftą i zapalono, to że niemowlę udławiło się korkiem butelki, którą ssało, to znowu że ktoś nieskończoną ilość razy odbierał sobie życie itp. Ażeby imaginacya nie potrzebowała wysilać się na coraz nowe okropności, Hoppe rozłożył je sobie według miesięcy. Tak np. w pewnej porze roku stale powtarzała się historya o windzie, w drugiej o niemowlęciu z korkiem itd. Trwało to szczęśliwie dość długo; nareszcie złośliwi ludzie podpatrzyli tajemnicę tworzenia „sensacyj“ i oskarżyli biednego poetę reportera o oszustwo, a niemiłosierny sąd skazał go na trzy miesiące więzienia. Jednakże my byśmy się na takie okrucieństwo nie zdobyli, pomimo że posiadamy jedną z największych hodowli kaczek i pomimo że znamy mężów w niej zasłużonych. Przed kilkunastu laty były robione na nich zamachy. Niektórzy z czytelników pamiętają może, jak to wówczas postępowano z nimi niegrzecznie. Gdy oni np. ogłosili, że na rogu ul. Hożej i Kruczej prywatny powóz przejechał dziecko, któremu z pękniętej czaszki mózg wyszedł, nazajutrz z pewnością czytaliśmy urzędowe sprostowanie: po sprawdzeniu wiadomości okazało się, że na rogu ulicy Hożej i Kruczej spadła z wozu główka kapusty, która pod kołami uległa zmiażdżeniu. Wkrótce zaprzestano tych złośliwych szykan i hodowcy kaczek aż do dnia dzisiejszego karmią nas niemi bez żadnej przeszkody. Co tam oberwana winda lub oblanie naftą! Myśmy mieli przez kilka lat z rzędu co wiosnę niemowlę, płynące w kołysce Wisłą podczas powodzi, my mieliśmy kobietę z wężem przy piersi, która ściągnęła tłumy ludu naokoło szpitala Dzieciątka Jezus — to nie są drobiazgi! A przecież nikt nie śledził twórców tych tragedyj, a tem mniej nikt ich nie oskarżał o oszustwo i nie wsadzał do kozy. I teraz codziennie pływa po naszej prasie stadko kaczek, które wprawniejszem okiem natychmiast rozpoznajemy, ale nie płoszymy ich, bo one stanowią tak miły, tak swojski inwentarz naszego gospodarstwa dziennikarskiego. Gdyby ktoś chciał ucieleśnić prawdę, musiałby ją przedstawić pod postacią szpetnej, złej, nielitościwej jędzy; natomiast dla kaczki dziennikarskiej odpowiednią byłaby figura pięknej i czarownie uśmiechniętej najady. Nawiasem dodam, że w ostatnich miesiącach mieliśmy nadzwyczaj obfity lęg tego ptactwa, ale nie wypuszczaliśmy go na stawy, a przytem spadła na nie zabójcza epidemia, w której młode pisklęta szybko wyzdychały.

Doskonały jest sobie p. M. Radomczyk, który w *Słowie* żąda od dziennikarzów, ażeby ci, podając wiadomości o jakiemś nowem prawie, przytaczali źródło! Niedawno wyczytał on w pismach doniesienie, że według świeżo wydanej ustawy karę za sporządzenie dokumentu bez stempla mają płacić tylko ci, którzy go podpisali (np. dłużnik, a nie wierzyciel na wekslu). Prawda, że kto tę wiadomość potrzebuje zużytkować praktycznie, musi znać jej źródło urzędowe, ale gdybyśmy za radą p. Radomczyka chcieli cytować źródła wszystkich doniesień, co by się stało z naszemi kaczkami? Jakże wskazać, skąd dowiedzieliśmy się o kobiecie z wężem, kiedy taka kobieta wcale nie istnieje? Jest to zupełnie tak samo, jak gdyby ktoś od nas wymagał, ażebyśmy podali metrykę Syreny, umieszczonej w herbie Warszawy. Przytaczajmy jednak źródła, o ile można.

Jedno z pism (trzymam się warszawskiego sposobu cytowania) twierdzi, że właściciele domów w okolicy zetknięcia ul. Marszałkowskiej z Królewską umówili się tajemnie, ażeby ceny wszystkich sklepów podnieść o 25%, na co kupcy odpowiedzieli również zmową, ażeby na tę podwyżkę nie przystać. Gdyby ktoś chciał do tej bajki wtrącić trzy grosze moralne, to zwracam jego uwagę, że postąpiłby niesprawiedliwie. Żyjemy w epoce *ringów, karteli, syndykatów* i tym podobnych związków pewnego koła interesów, wymuszających dla siebie korzyści. Kiedy jeszcze w Europie słychać było dopiero o *ringach* miedzianych i srebrnych, a u nas zajaśniał zaledwie syndykat cukrowniczy, przepowiadaliśmy, że ta ponętna idea przeniknie do najmniejszych kółek produkcyi i własności, że będziemy jedli chleb, mięso, ser, sałatę itd. po cenach zmowy wytwórców. W znacznej mierze już się ta wróżba sprawdziła. Pustoszy ona nasze kieszenie, ale czyż to nie przyjemnie pomyśleć, że się ginie w duchu czasu?

Podobno wielką ulgę w strapieniu stanowi uprzytomnienie sobie cudzych nieszczęść większych, niż nasze. Jeżeli ta szlachetna właściwość zdobi charakter człowieka, to znoszącego tegoroczną zimę, która jest zawsze strapieniem, mamy pociechę, że kraje, które jej prawie nie znały, jak Włochy, Hiszpania, Francya—marzną

w daleko ostrzejszej. Jak to ciepło czytać następujące wiadomości:

„Aix zasypane śniegiem. *Po ulicach* błąkają się *wilki*. Stada *kruków* spadają na dachy. *Wiatr* przeraźliwy; *mróz* dochodzi *do 17 stopni* Reaumura. W Prades i Certes śnieg pokrywa ziemię warstwą *dwumetrową*. W Luchon spadł na *półtrzecia* metra. W Marignac, w pobliżu Tuluzy, pod jego ciężarem *walą się domy i obory*. W Alençon kilka osób *zmarzło na śmierć*. *W Algierze* śnieg zaloga pola pokładem grubości *60 cent*. Pociąg, idący z Algieru do Konstantyny, *przez dwa dni stał zasypany śniegiem*" — itd.

My u siebie albo tego nie widzimy, albo nawet nie widzieliśmy nigdy. A może czytelnik, jedząc pomarańcze i wąchając róże, które tam dojrzewają bez sztucznych ogrzewań, przypuszcza, że cała ta zima francusko-hiszpańsko-włosko-afrykańska jest tylko wielką białą kaczką? Licho wie, w każdym razie nie radzę trzymać o nią zakładu.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Sosnowice. Wszędzie mówią o nadprodukcyi ziarna, tem bardziej zaś w tem ognisku handlu i składów zbożowych. To też gospodarze okoliczni starają się radzić jak można. W pow. miechowskim i częstochowskim pozakładano kurniki dla produkowania jaj na wywóz za granicę. Może to prędzej pójdzie niż pszenica, której ziemianie posiadając ze zbiorów zeszłorocznych po tysiąc i więcej korcy, nie mogą sprzedać nawet kilku. Słusznie powiada korespondent *Wieku*: „Dziwić się należy, że dotychczas jeszcze w majątkach, położonych bliżej miast większych lub olbrzymich osad fabrycznych, w których garniec mleka można sprzedać po 32 kop., ziemianie sieją zboże na wielką skalę. Jedynie tylko w takich miejscowościach opłacałoby się sowicie gospodarstwo nabiałowe. Nie ma potrzeby mleka na masło lub sery przerabiać, skoro dostawiane np. do Dąbrowy lub Sosnowic można sprzedać po tej cenie i zapewne miałoby ono pokup daleko większy niż mleko wodą zaprawiane. Dodać należy, że w tutejszej ludnej osadzie innego mleka nie używamy. Spółka obywateli z pow. miechowskiego, zniżywszy cenę mleka, założyła sklep w Dąbrowie. Warto, aby podobna spółka i w Sosnowicach zechciała swoją działalność rozwinąć."—Długo i niecierpliwie oczekiwany projekt przekształcenia osady na miasto, prawdopodobnie wkrótce przyjdzie do skutku. Jeżeli postanowienie to zapadnie w zimie, to na wiosnę ruch budowlany ożywi się, mieszkańcy posiądą tanie mieszkania, przedsiębiorcy porobią świetne interesy, a po paru latach ognisko to rozszerzy się ogromnie i z czasem stanie się wielkiem miastem, gdyż ma potemu warunki odpowiednie. Dziś cena domów urosła bajecznie wysoko. Niedawno np. jeden z nich sprzedano za 52,000 rs., gdy przed rokiem ci sami nabywcy dawali zań 30,000 rs.

Płock. Mieszkanka tego miasta, p. Bronisława Jundziłłowa Ryłło, poczyniła starania o otwarcie przytułku dla kobiet lekkiego życia, na wzór istniejącego w Warszawie. Współwłaścicielki zaś nieruchomości, J. Łobanowska i M. H. Stempczyńska oddają dwupiętrową oficynę na zakład. Zadaniem tej instytucyi ma być wyłącznie „moralna poprawa, nawrócenie na drogę cnót chrześciańskich, przyuczenie do pracy i porządnego życia kobiet upadłych." Przyjmowane będą kandydatki, które z własnej woli zechcą tam przebywać; przyjęcie zaś małoletnich, przyprowadzonych przez rodziców i opiekunów, zależeć będzie od zwierzchniczki zakładu. Przytułek utrzymywany będzie przez opiekunkę i jej pomocnice z własnych funduszów. Prócz tego z dochodów, czerpanych z pracy pensyonarek, wreszcie z ofiar dobrowolnych. Projekt ten władza gubernialna uznała za pożyteczny i przesłała wyżej do zatwierdzenia.—Druga instytucya, którą Płock ma pozyskać, jest dom zarobkowy. Ofiarowany w tym celu na początek fundusz w kwocie rs. 500, od kilku miesięcy już leży i oczekuje przyrostu z ofiar. Miejscowe Towarzystwo dobroczynności nie ma na to środków, przy tem jest zniechęcone brakiem współdziałania ogółu. Wobec tego ktoś zaprojektował, aby na powyższy cel użyto kapitał zapasowy, pozostały po zwiniętej kasie oszczędności w sumie przeło 7,000 rs., nie mającej dotąd żadnego przeznaczenia. Gdyby tę myśl przyjęto, zakład otrzymałby trwałe podstawy a jednocześnie można byłoby z nim połączyć schronienie starców i kalek, także pozostające dotychczas w marzeniach.

Radom. Miasto z każdym rokiem rozwija się, to też w miarę tego odczuwa coraz dotkliwiej wszelkiego rodzaju braki kulturalne. Ludzie narzekają na straty, wynikające z niedostatecznej szybkości i łatwości ruchu komunikacyjnego. Przed dwoma laty mówiono o tramwajach; teraz znowu zaczynają mówić o nich. Jednocześnie ktoś postanowił otworzyć biuro posłańców publicznych. - „Bazar" przedświąteczny, urządzony na dom zarobkowy, przyniósł czystego dochodu rs. 395. I to coś warte. — *Gazeta radomska*, wzorem lat poprzednich, wydała numer noworoczny, tym razem zewnętrznie okazalszy niż dawniej. Jest tam trochę poezyi, beletrystyki, artykułów okolicznościowych. Spotykamy nazwiska: Konopnickiej, K. R. Z., Wł. Nawrockiego, Pawła Kośmińskiego; najwięcej wszakże księży.

Kasa pogrzebowa. Sądownicy warszawscy opracowali ustawę nowej kasy i uzyskali już jej zatwierdzenie. Jak sama nazwa dowodzi, celem tej instytucyi jest pomoc pieniężna na grzebanie uczestników zmarłych. Na członków mogą się zapisywać sądownicy, adwokaci, kandydaci do posad, tudzież kanceliści. Są trzy kategorye opłat i przywilejów. Do I-ej należą ci, którzy wnoszą 3 rs., do II-ej—2, do III-ej—1 rs. Można należeć jednocześnie do wszystkich trzech kategoryi. Składki są peryodyczne i powinny być wnoszone w miarę śmierci uczestników. Jeżeli umrze członek z kategoryi I, do której należy np. 100 osób, to rodzina zmarłego dostaje odrazu 300 rs., pozostali zaś przy życiu uczestnicy w ciągu najpóźniej dwu tygodni wnoszą znów po trzy rs. i są wolni od dalszych składek aż do nowego zgonu. Pierwsze składki przy zawiązaniu kasy stanowią kapitał zapasowy, który będzie się powiększał z ofiar dobrowolnych, z kar za spóźnienie i z procentów od funduszów. Największe korzyści osiągają ci, którzy należą do wszystkich trzech kategoryi i to w takim razie, jeżeli wszyscy sądownicy zapiszą się do kasy. Gdy np. w I-ej kategoryi będzie 100, II-ej—200, III-ej—300-tu, rodzina zmarłego, który brał udział we wszystkich trzech kategoryach, otrzyma 1,000 rs. jednorazowej zapomogi.

Towarzystwa wstrzemięźliwości. Ogłoszono ustawę tych nowych instytucyj, które na początek wejdą w życie tam, gdzie najwcześniej zastosowany będzie monopol wódczany. Na zarząd akcyzy włożono obowiązek zwalczania pijaństwa śród ludu. Do opieki przeciwdziałających nałogowi będą powołani najpoważniejsi ludzie w guberniach. Członkowie honorowi mają prawo do munduru VI klasy. Uczestnicy, mający na równi z urzędnikami akcyzy prawo do dozoru nad sprzedażą trunków, urządzają odczyty i noszą oddzielny znak. W komitetach powiatowych prezydują marszałkowie szlachty, w guberniach — gubernatorowie. Towarzystwa otrzymują zasiłek ze skarbu, nadto z kar pieniężnych za przekraczanie przepisów o handlu trunkami, wykryte przez członków Towarzystwa. Oprócz osób prywatnych, do Towarzystwa wchodzą przedstawiciele ziemstw, miast, zwierzchnicy zakładów naukowych średnich, przedstawiciele sądowi i administracyjni. Do liczby przywilejów tych związków należy także bezpłatne przesyłanie korespondencyi. Przepisy zatwierdzono dnia 1-go b. m.

SPRAWY EKONOMICZNE.

BANK WŁOŚCIAŃSKI.

(Dokończenie).

Przypatrzmy się teraz rozmiarom operacyj bankowych. Chodzi tu o różne kategorye nabywców, ludność włościańską, przyczem brani są w rachubę tylko mężczyźni, w Królestwie zaś obliczenie to jest podobno bardzo nieściśle. Ciekawem jest również, jaką była liczba morgów zakupionej ziemi, suma pożyczek i dopłata z własnych funduszów. Sprawozdanie daje nam możność objęcia działalności banku za cały czas jego istnienia oraz za rok 1893-ci. W Cesarstwie łącznie z Królestwem obroty banku przedstawiały się w następujący sposób:

	W ciągu pierwszych lat 10 istnienia banku 1883—93 r.	W 1893 r.
Ilość wydanych pożyczek	11,384	1,487
Liczba pożyczających	293,101	24,602
Ludność, która z pożyczki [illegible]	943,477	76,779
Ilość morgów ziemi zakupionej	3,890,439	298,864
Suma pożyczek w rublach	70,347,442	[illegible]
Dopłata z własnych funduszów	19,268,901	2,711,383

Widzimy, że cyfry z ostatniego roku nie odbiegają daleko od przeciętnych dla dziesięciolecia i raczej mniejsze są niż większe, wzrasta zaś właściwie tylko suma dopłaty z własnych funduszów. Inaczej jest dla Królestwa. Tu za 2½ lat istnienia banku, wydano pożyczek 367, w roku sprawozdawczym — 190, przyczem najwięcej zażądań było z gub. kieleckiej, oraz powiatów nieszawskiego i grójeckiego gub. warszawskiej. Wśród nabywców tak dalece przeważały spółki, że na 367 pożyczek znalazło się tylko 13 zaciągniętych przez osoby pojedyncze. Przytem zaznaczyć należy, że spółki były przeważnie liczne (średnio koło 20 osób), gdyż nabywców spółkowych liczono 6,990-u w ciągu całego okresu działalności, a 3,226 w roku 1893. Ponieważ wiadomem jest, że spółki doskonale się wypłacają, że przedstawiciele ich, włościanie interes przeprowadzić umieją, daje to korzystne świadectwo zarówno o poczuciu solidarności między włościanami, jak i o inteligencyi ich i zrozumieniu własnego interesu *). Niema wątpliwości, że zanim kupno podobne przyjdzie do skutku, nieszczęśliwego właściciela majątku męczą i nudzą przez całe miesiące, poddaje się on temu przecież, gdyż ceni nabywcę pewniejszego i zasobniejszego od innych.

Zdawałoby się, że skoro chodzi o kupno z dopłatą 30—25% z własnych funduszów dokonać go będą mogli tylko włościanie zasobniejsi, a więc posiadacze. Tymcza-

*) Zaradność włościan nie zawsze jest tak pomyślna. Również pod innymi względami rzeczywistość często inaczej się przedstawia. Przyznając wielką donioslość roli banku, musimy jednak zaznaczyć fakty życiowe, wynikające z niezupełnego przystosowania instytucyi do potrzeb istotnych. Jak wiadomo w zakresie formalności zawiłych jest wiele przeszkód, które najbiedniejszym utrudniają korzystanie z kredytu. Sprawozdanie przedstawia obraz bardzo piękny w cyfrach, ale nie wnika w to, jak sobie radzą i jakiego losu doznają nabywcy, którzy otrzymali środki tylko na kupno gruntów. Nie uwzględnianie pewnych wymagań sprawia to, że pomoc chybia celu, stwarza gorączkę kupna, przez rozrost obszarów, a brak środków do prowadzenia gospodarki wycieńcza ekonomicznie nabywców. Na to właśnie zwrócono uwagę i odpowiednio do potrzeb rzeczywistych miała być zreformowana tudzież rozszerzona ustawa banku. *Red.*

sem najliczniej wśród kupujących zaznaczyli się bezrolni oraz własność karłowata do 3 mg. Mianowicie z tej kategoryi z pożyczek banku korzystało 6,365 osób, które nabyły 21,994 morgi; z posiadających do pięciu morgów było 1,062, zakupili ogółem 3,446 morgów, dopiero pozostałe tranzakcye przypadają na właścicieli znaczniejszej posiadłości.

Działalność banku bardzo nierówno dzieli się w powiatach pojedynczych. Podczas kiedy jedna okolica stara się o jak najwyższe pożyczki, w innych głównie za namową pośredników żydowskich, włościanie unikają wszelkich z bankiem stosunków. Położenie nowo-zakupionej ziemi względem dawnego miejsca zamieszkania nie odegrywa tu decydującej roli. Wprawdzie najwięcej, bo przeszło 9 tysięcy morgów, przylegało do poprzednich posiadłości, ale znow prawie osiem tysięcy morgów, a więc niewiele mniej, odległe były więcej, niż 10 wiorst, zatem nie miały właściwie żadnej styczności z dawniejszem miejscem zamieszkania, co dla 1809 bezrolnych istotnie nie mogło stanowić różnicy majątkowej.

W ciągu całego okresu działalności banku udzielono pożyczek na 2,805,667 rubli, w roku 1893-im zaś na 1,347,332 rs., przyczem niemal dziesięć razy większą była suma pożyczek o dłuższym terminie, niż 24½ lata. Dopłata z własnych funduszów stanowiła 1,131,287 za cały okres istnienia banku, a więc prawie trzecią część sumy kupna.

Danych za rok 1894 dotąd nie posiadamy; jak zapewniają przecież ludzie stojący blizko najważniejszego oddziału, warszawskiego, działalność ta staje się coraz intensywniejszą, a kapitały znajdując pewne umieszczenie w wartości ziemi, płyną dość obficie, aby pozwolić na skonwertowanie listów na niżej oprocentowane. Dla nabywających zaś bank przynosi realne korzyści, gdyż oddając ziemię w ręce włościan, łagodzi obecne przesilenie własności większej i pozwala zeń wyciągnąć istotne korzyści społeczne. Nie należy również zapominać, że jakkolwiek bieda zmusza zwykle szlachcica do parcelacyi majątku, ocalić się on nieraz może przez umiejętną sprzedaż części majątku. Korzystne jest również uruchomienie kapitałów, które bank zwraca wierzycielom, wzamian zaś za ziemię, aż do czasu spłaty, krąży papier tolerowany przy interesach pieniężnych z rządem i mający dziś już kurs na giełdzie petersburskiej.

Wobec ogólno-parcelacyjnego ruchu w Królestwie, bank udziela zaledwie drobnej części potrzebnych tu kapitałów, nie troszczy się zaś bynajmniej o pieniądz obrotowy, niezbędny dla nowej gospodarki, powstaje stąd gorączka kupna, której włościanin tak łatwo ulega skoro chodzi o nabycie ziemi. Zresztą ważną potrzebą stanu włościańskiego jest nietylko kapitał dla nabycia nowego gruntu, ale również obrotowy dla prowadzenia gospodarki na dawnym. Zadaniem banku powinnoby być wedle potrzeby udzielanie jednego lub drugiego, bo tylko wtedy spodziewać się można racyonalnego systemu rolnictwa. Przechodzenie gruntu z rąk jednej klasy na własność innej, może być ocenionem jako korzyść lub strata dla jednej z nich, ale stan rolnictwa poprawi się dopiero, gdy nie będzie brakowało kapitału niezbędnego na wprowadzenie tych ulepszeń, które dawno już istnieją na zachodzie, u nas zaś są niezbędne, aby rolnictwo nie stało w tyle po za wymaganiami doby bieżącej.

Działalność banku słusznej podlegała krytyce komitetu Towarzystwa ekonomicznego, o którego badaniach wspominaliśmy wyżej. Żąda on zreformowania instytucyi, zupełnej jej niezależności od oddziałów banku szlacheckiego, z którymi w wielu miejscowościach jest złączony, a przedewszystkiem wytworzenia zeń ogniska kredytowego, któreby otaczałoby czynną opieką interesy włościańskie. W projekcie przekształcenia postawiono kilkanaście żądań, z których dla stosunków naszych ważny i dobroczynny wpływ mieć by mogło urzeczywistnienie następujących: 1) Bank powinien by mieć prawo zakupywania gruntów na dogodnych warunkach w celu odprzedawania ich późniejszej włościanom. 2) Zmniejszyć formalności przy wydawaniu pożyczek, tak aby oddziały lokalne wypełnić je mogły, a tylko ostateczne zatwierdzenie zależnem było od Petersburga. 3) Wydawanie pożyczek do wysokości ceny całej nabywanej ziemi, jeżeli jej nabycie z jakiegokolwiek względu jest dla włościanina ważnem. Pożyczka może być wyższą od oceny bankowej. 4) Wysokość pożyczek stosuje się do ceny ziemi i warunków gospodarczych w danej miejscowości, a przy kupnach spółkowych uwzględniać należy liczbę nabywców. 5) Włościanie ubodzy oprócz pożyczek na zakupno ziemi, otrzymują pożyczki na kupno inwentarza. 6) Sprzedaż gruntu za długi bankowe dozwoloną jest tylko w tym razie, gdy zaległości nie powstały wskutek klęsk elementarnych.

Jeżeli żądania Towarzystwa, o których zawiadomiły nas *Birżewyja Wiedomosti*, pogodzić się dadzą z finansowym interesem banku i uwzględnione będą, to usuną się główne powody niezadowolenia, do jakich dotychczasowa działalność banku dawała niejednokrotnie powody.

S. Z. Dański.

W SEKCYI ROLNEJ.

Tyfus mysi.—Sprawozdanie d-ra Palmirskiego.—Odporne myszy i odporni rolnicy.—Zarzuty i obrona.—Mysz jako regulator na rynku.—Usługi zwierząt w tępieniu szkodników.—Sposoby pominięte.—Brak korespondentów.—Roczniki rolnicze.—Rozdział ekonomii politycznej i jego nawiasy.

Sprawa mysia nie przestaje żywo zajmować ziemian naszych. Obecnie budzi ona jeszcze większe zainteresowanie, gdy rolnicy poczuli bezpośrednio skutki klęsk, wyrządzonych przez szkodników w polach, stodołach i spichrzach i gdy nareszcie coś można wiedzieć o pracach delegacyi ochrony roślin. Na posiedzeniu poniedziałkowem dr. Palmirski odczytał sprawozdanie o swoich dość długich próbach zaszczepiania zarazka Loefflera różnym gatunkom myszy. Wyniki były względnie pomyślne, ale jeszcze nie przekonywają one o skuteczności środka. Może ciekawsze niż same badania bakteryologa są cechy odporności znacznej części rutynistów śród naszego ziemiaństwa, którzy wobec nauki występują z niedowierzaniem, uporem, często szyderstwem—wogóle z tem wszystkiem, co jest właściwością ludzi ciemnych. Jakkolwiek ci oporni nie należą do takich w całem znaczeniu tego wyrazu, jednakże pomimo wystawienia się na światło, zabójcze dla wszelkich mikrobów, noszą dotąd jeszcze w swych pojęciach i poglądach bakterye pleśni, utrudniające pochód na drogach przez wiedzę wskazanych.

Próby Loefflera uległy krytyce specyalistów za granicą, ale dla naszych oponentów-niespecyalistów wystarcza kilka luźnych jednostronnych zarzutów, ażeby przerobić je na ślepe pociski przeciwko nauce. W procę z takimi grotami zaopatrzył się na poniedziałkowem posiedzeniu p. Jurski i uderzył wraz z innymi na wyniki badań. Więc tedy: myszy, karmione nawet czystemi kulturami zarazków tyfusowych, żyły zdrowe. Środek ten trzeba sprowadzać od samego wynalazcy, gdyż gdzie indziej przyrządzany, jest o wiele słabszy. Działa skutecznie tylko wtedy, gdy jest świeży. Szkodniki przez długi czas karmione słabymi zarazkami, stają się w końcu odpornymi na nie; albo trucizna działając zabójczo na wiele gatunków, nie zdoła zniszczyć myszy zbożowej, więc ta odmiana może z czasem zapanować i szerzyć zniszczenie. Tępienie jako tako udaje się na dużych przestrzeniach przy pomocy znacznej liczby robotników; przyrządzenie i użycie zarazka kosztuje 29 rs. 80 kop. na włókę; zatem dla wytępienia myszy na przestrzeni 30 włókowej skromnego majątku, trzeba wydać 894 ruble. Wreszcie wyniki nawet doświadczeń pomyślnych nie są pewne, gdyż niepodobna w polu przeprowadzić należytej kontroli. W gub. podolskiej lata ubiegłego znaleziono mnóstwo nieżyjących myszy w norach. Gdyby tam stosowano zarazek Loefflerowski, przypisanoby jemu tę śmiertelność, gdy tymczasem jakaś niezbadana przyczyna sprowadziła pomór. W jaki sposób czynione są doświadczenia? — W klatkach nad myszami więzionemi, które może zdychają od tej niewoli i jej warunków. Takimi zarzutami zasypano usiłowania i rzetelne prace specyalistów, poniesiono dla dobra ogólnego. Z obroną wystąpił p. Chełchowski, który pierwszy przed kilku miesiącami kwestyę mysią wprowadził na porządek dzienny i przyczynił się do stworzenia stałej delegacyi ochrony roślin. Radykalnej skuteczności zarazków tyfusowych spodziewać się niepodobna, albowiem mogą być warunki przyjazne lub nie. Mamy przykład na wielu epidemiach śród ludzi: szerzą się one albo napotykają odporność, nieprzyposobioną rozmyślnie przez hygienę i medycynę. Otóż, jak słusznie twierdzi p. Ch., trzeba najpierw wypróbować zarazek w danych warunkach i następnie stosować go na dobro, lub zaniechać, gdy się widzi, że usiłowania będą bezowocne. Zresztą sam zarazek tyfusu nie jest jedynym środkiem tępienia myszy; istnieje np. silna trucizna dr. Wasmutha; zarazek zaś Danysza nawet szczury truje. Nasi gołosłowni przeciwnicy Loefflera zebrawszy strzępki oskarżeń, pominęli np. takie fakty, że w Saksonii wyniszczono tym środkiem bardzo dużo myszy w spichrzach zbożowych. Nadto można podać wiele innych przykładów.

Największym pesymistą w tej mierze i przeciwnikiem szerzenia tyfusu mysiego zdaje mi się jest p. Szwejcer. Gdzie tkwi istotna przyczyna tak nadzwyczajnego mnożenia się myszy? W prowincyach czarnoziemnych stepowych z braku kupców, pszenica stoi w stertach, więc dostarcza obfitej strawy i przyjaznych warunków dla rozwoju tych szkodników. W wielu miejscowościach Besarabii i gub. chersońskiej r. z. zboża wcale nie sprzątano. Więc—twierdzi p. Szwejcer—dr. Palmirski źle się zasługuje krajowi rozpowszechnianiem metody Loefflera, bo obronione przed myszami zboże popsuje ceny rolnikom. Kto wie, czy na dnie tego zdania, wypowiedzianego na wpół humorystycznie, nie leży szczere przekonanie mówcy. Przypomnijmy sobie to zjawisko nienormalne z roku ubiegłego: obawa niektórych ziemian przed wielkim urodzajem i oczekiwanie regulatorów: klęsk elementarnych. Czemuż więc myszy dla wielu nie mogą być pożądanym czynnikiem, normującym ceny i ilość zboża na rynkach? Przy różnorodnych zboczeniach, nienormalnościach ekonomicznych, wszystko jest możliwe. Ale p. Szwejcer zapewne nie życzy, iżby na jego polach, w stertach i stodołach zapanował ten regulator, więc nie wierząc w Loeffera, doradza jednak inny sposób tępienia szkodników. Twierdzi mianowicie, że lisy mogą większy oddać pożytek, niż wszelkie tyfusy. W tym samym duchu podał również wniosek p. Józef Godlewski. Żąda on, aby jastrzębie, wrony, lisy i wogóle wszelkie zwierzęta, tępiące myszy i pęd-

raki, były otoczone opieką za pomocą odpowiedniego rozszerzenia przepisów o polowaniu. Chociaż wniosek ten prezydyum „przyjęło do wiadomości“ dość obojętnie, ma on wszakże pewną racyę. Jak wiadomo bowiem, na zachodzie Europy zabiegi około ochrony roślin polegają nie tylko na bezpośredniem tępieniu szkodników środkami technicznymi, lecz także pielęgnowaniu takich stworzeń, które przyczyniają się do zagłady niepożądanych. Zadaniem więc właściwie nie prezydyum sekcyi, lecz delegacyi stałej w tym celu stworzonej, powinno być rozpatrywanie i wypróbowanie różnych środków pożytecznych. Ci ziemianie, którzy nie są oporni na wszelkie podmuchy nauki i nie zrażają się niepowodzeniem chwilowem—niech czynią najrozmaitsze próby, głównie przez specyalistów wskazane i ich wyniki składają stowarzyszeniu ochrony.

Pomimo szerokich rozpraw, obradujący członkowie sekcyi nie wyczerpali całkowicie tak doniosłej „kwestyi mysiej,“ a o sposobach tępienia szkodników mówiono bądź pobieżnie, bądź też pominięto wiele środków, zasługujących na uwagę. P. Chełchowski np. wspomniał o truciznie Warmutha, lecz nie zaznaczył sposobów użycia. Otóż tym środkiem radykalnym jest owies, zatruty strychniną i zaprawiony fuksyną. Podobno myszy zjadają tę trutkę bardzo łapczywie, nawet w tych wypadkach, gdy nie są głodne i gdy mają do wyboru inne ziarno. Firma niemiecka („A. Wasmuth und C-ie in Ottensen Hamburg“) dostarcza odpowiednio przyrządzony owies w paczkach 12-funtowych po 4 rs., w większych zaś partyach taniej (sześć pudów około 64 rs.). Materyał ten, dotąd u nas nie wypróbowany, jest niebezpieczny, więc należy umieszczać go głęboko w norach za pomocą osobnego przyrządu (firma powyższa sprzedaje po 2 rs. sztukę). Prócz tego używany jest jeszcze fosfor (metoda Krampego) w cieście; nadto próbowano także truć arszenikiem (środek Kuźmienka), który zastosowany do tępienia susłów w gub. chersońskiej, dał pomyślne rezultaty, a ma tę zaletę, że nie kosztuje drogo. Jak działa na myszy, dotąd praktyka jeszcze nie zbadała. Wobec tego, iż klęska niebywałych rozmiarów nawiedziła prawie całe państwo, ministeryum rolnictwa jest zajęte obmyślaniem sposobów tępienia myszy. Ma więc na względzie i to, co prezydyum sekcyi przyjęło do wiadomości: ochronę zwierząt, niszczących szkodniki. Oprócz wyliczonych powyżej, należą tu jeszcze jeże, tchórze, sowy, węże itd. Ale obok sposobów tępienia, istnieją także bardzo proste środki zapobiegawcze, jak okopywanie stogów i stert rowem wązkim i głębokim lub umieszczanie ich na palach, jak to czynią mieszkańcy nizin, dla zabezpieczenia siana przed powodzią.

Powiedziano nam, że niektórzy członkowie sekcyi korzystają z pracowni p. Palmirskiego i jego uczynności, chcąc tą drogą gruntownie poznać zarazki Loefflera. Niechże ten przykład ściągnie jak najwięcej naśladowców. Szkoda tylko, że dotąd żaden badacz w pracowni społecznej nie znalazł pod swym mikroskopem drobnoustrojów takich, które zaszczepione charakterowi ziemian naszych, zabijałyby w nim lenistwo, obojętność na dobro powszechne i w związku z tem—piórowstręt. Delegacya ochrony roślin skarży się właśnie na tego rodzaju objawy, utrudniające rozwój działalności. Bardzo prędko zawiodła się ona w rachubach na pomoc ogółu rolników. Chodzi o tak prostą rzecz: wiadomości o wszelkich ważniejszych faktach, i wypadkach, służących za wskazówki ostrzegawcze. Szczególnie brak korespondentów daje się odczuwać w guberniach: piotrkowskiej, kaliskiej i suwalskiej.

W dziale t. zw. spraw drobnych posiedzenia poniedziałkowego znalazł się wniosek wydawnictwa prac sekcyi, już raz odrzucony przez prezydyum, które i teraz nie pochwala pomysłu, utrzymując, że *Gazeta rolnicza* może podołać temu zadaniu. Panów radców najbardziej przerażają koszty, a jak ktoś zaznaczył, nie można obarczać członków nowemi składkami, bo wtedy zrobiłoby się bardzo... przestronnie w sekcyi. Nasi ziemianie lubią piękne projekty, dopóki nie ma mowy o kieszeni. Z tego więc względu p. Jeziorański, znający ich doskonale, ma najzupełniejszą racyę. A jednak wydawnictwo takie miałoby swą wartość. Zapytajmy członków sekcyi, długoletnich i stale odwiedzających posiedzenia, czy pamiętają dokładnie wszystkie sprawy tudzież pożyteczne nieraz wskazówki, wypowiedziane w poważnych referatach? Kilkakrotnie miałem sposobność sam się przekonać, że nawet prezydujący zapomnieli o tem, co się mieści w foliałach, kurzem pokrytych. Temu przypisać należy owe charakterystyczne wnoszenie „nowych“ projektów, o których szczegółowo rozprawiano przed kilku laty. Zresztą prace specyalne a wartościowe dla rolnika, bywają słuchane nieuważnie po parogodzinnem znużeniu, lub wcale niesłuchano przez tych, którzy, bojąc się nudnych rzeczy, wychodzą do przyległego pokoju na papierosa i pogawędkę. W końcu pewne referaty, zawierające cenne wskazówki i wywody, mają charakter podręczników, do których trzeba od czasu do czasu zaglądać. Trudno atoli pismom rolniczym narzucić drukowanie tych prac całkowicie, gdyż w takim razie przepełniwszy szpalty ciężkim materyałem, straciłyby swą poczytność śród większości. Jest atoli jeden, najpraktyczniejszy środek, doradzany p. Jeziorańskiego: wydawania przy *Gazecie rolniczej* dodatku zeszytowego; będzie to i tańsze i łatwiejsze, a z prac owych skorzystają i ci, którzy nie należą do sekcyi. Niegdyś istniały u nas roczniki, poświęcone sprawom ziemiańskim, a pomimo, że upłynęło od tego czasu parę dziesiątków lat, nie straciły one wartości pod wielu względami; ciekawi zaś znajdą tam gruntownie i obszernie traktowane te kwestye, które dziś wchodzą niekiedy na porządek dzienny, jako nowe. Stąd można wnosić, że i obecnie wydawnictwa takie nie będą miały znaczenia przelotnego.

Dużo czasu na posiedzeniu poniedziałkowem pochłonęły wykłady o syndykatach rolnych. Sposób traktowania tej sprawy przypomniał nam trochę lekcyę elementarną ekonomii politycznej. Nie wiem, czy słuchacze dużo z niej skorzystali, to tylko wszakże zaznaczyć muszę, że w obszernych wywodach kwestye wypowiedziane przy końcu nawiasowo i pobieżnie, były dla naszych rolników najważniejsze, a ponieważ łączą się one z inną, nie potrącono tam sprawą skupienia interesów ziemiańskich w szerszem ognisku, więc postaram się osobno ten ważny przedmiot wyczerpać w przyszłym tygodniu.

Zen. Piet.

Instytucye taniego kredytu. Dnia 3 b. m. ogłoszono ustawę Towarzystwa wzajemnego kredytu w Petersburgu. Ponieważ przepisy te uważane są jako normalne, przeto zasługują na zaznaczenie. Celem powyższej instytucyi pod godłem taniego kredytu, jest ułatwianie członkom wszelkiego stanu i obojej płci umieszczania oszczędności i otrzymywania kapitału obrotowego na prowadzenie przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych. Każdy członek, zapisujący się do instytucyi, powinien złożyć deklaracyę, że przyjmuje odpowiedzialność za jej czynności do rozmiarów pewnej sumy, której 10% należy wnieść do kasy. Najmniejsza norma, za jaką członek otrzymuje odpowiedzialność za długi i straty Towarzystwa, wynosi 50 rs., najwyższa nie może przekraczać poprzedniej, pomnożonej przez 50. Zapisywać się na członka wolno: *a)* na zasadzie kaucyi w nieruchomości, posiadanej na miejscu; *b)* zastawu papierów procentowych, akcyj, obligacyj, udziałów itd.; *c)* na podstawie orzeczenia komitetu w sprawie odpowiedzialności danej osoby. Towarzystwo może prowadzić następujące operacye: dyskonto weksli handlowych, udzielanie pożyczek na termin sześciomiesięczny na zastaw papierów procentowych, towarów, frachtów itd., wykonywanie zleceń w zakresie pobierania wypłat z weksli i innych dowodów, przechowywanie papierów procentowych, otwieranie rachunków bieżących itd.

— Według urzędowych wiadomości, w Woli Miedniewskiej pod Błoniem padło w ciągu tygodnia 56 owiec na karbunkuł, a zaraza wśród trzody chlewnej szerzy się obecnie: w Kretowcach i Nadarzynie, w pow. błońskim, oraz w Stroszewie i Koniecku, w pow. nieszawskim.

PRASA RUSKA.

Warszawskij Dniewnik pisze: „W ostatnim numerze dziennika *Nord* zamieszczono co następuje: „Z powodu opuszczenia stanowiska Generał-gubernatora warszawskiego przez generał-feldmarszałka Gurko, niektóre gazety wiedeńskie uważają za stosowne przepowiadać najrozmaitsze zmiany w polityce Rosyi w stosunku do kraju Nadwiślańskiego. Przypuszczenia i wróżby tych gazet są zupełnie fałszywe. Rosya nie zmieni pod żadnym względem polityki, która przyniosła krajowi tak zbawienne rezultaty. Dymisyę dzielnego wodza, który zajmował to stanowisko, wywołał tylko stan jego zdrowia, a nie przyczyny bynajmniej, podawane przez prasę wiedeńską.“

KRONIKA.

Przyjazd J. E. Generał-Gubernatora warszawskiego, gen.-adjutanta hr. Szwałowa, spodziewany jest dziś, w sobotę.

Sprawy społeczne. Na rzecz Schronienia ubogich szwaczek w Warszawie wpłynęło r. z. ogółem z różnych źródeł rs. 4,479.

— Nowa instrukcya dla woźniców warszawskich zawiera między innymi następujący przepis: Dorożkarz, o ile można, winien starać się o zapamiętanie fizyognomii pasażera, oraz jak on był ubrany, jakie miał przy sobie rzeczy, skąd zabrał pasażera i dokąd go przywiózł, aby w razie potrzeby mógł na pytania policyi udzielić stosownych odpowiedzi i wyjaśnień w tym względzie.

— Magistrat warszawski zawiadomił Towarzystwo dobroczynności, że pod budowę projektowanego przytułku dla robotników może ofiarować bezpłatnie grunty przy ul. Petersburskiej i Konstantynowskiej na Pradze.

— Oświetlenie elektryczne wprowadzono w kopalniach i zakładach fabrycznych, należących do Towarzystwa sieleckiego. Obecnie wszystkie fabryki w Sosnowicach, Sielcach i Gzichowie posiadają takie oświetlenie.

Zdrowie publiczne. Władza prowincyonalna lekarska zwróciła uwagę, iż karczmarze wiejscy, zajmujący się przyrządzaniem wędlin, gotują je w naczyniach metalowych niepobielanych. Z tego powodu dozór wzmocniono.

— Wiele osób z Warszawy zaczęło bezpośrednio żądać z zagranicy środka przeciwbłonicowego. Z tego powodu tutejsza komora celna otrzymała zawiadomienie, że sprowadzać surowicę mają prawo tylko zakłady lecznicze i apteki, wydawać zaś ją można jedynie za receptami lekarzy i w oryginalnem opakowaniu z zaznaczeniem czasu przyrządzenia lekarstwa.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyi posiada plany kolei pomocniczych na przestrzeni [illegible]

— Dla powiększenia liczby telegrafistów kolejowych ministeryum komunikacyi rozesłało do zarządów okól-

nik, w którym zaleca wprowadzić naukę telegrafowania na następujących zasadach: 1) Kandydatom ułatwić wstęp, nie ograniczając przyjmowania uczniów warunkiem, aby ci należeli do rodzin urzędników kolejowych. 2) Otworzyć szkoły telegraficzne możliwie na największej liczbie stacyj. 3) Ustawić aparaty na każdej stacyi, gdzie jest starszy telegrafista, wolny od dyżurów. 4) Przyjmować na naukę osoby, które przedstawią świadectwa z ukończenia przynajmniej kursu szkół powiatowych i miejskich, lub dwóch klas szkół techniczno-kolejowych. Nieposiadający świadectw powinni zdawać egzamin przed odpowiednią komisyą. 5) W celu zachęty wyznaczyć dla nauczycieli telegrafowania z funduszów kolejowych po 10 rs. za każdego ucznia, który złoży egzamin ostateczny. 6) Dla 10% kandydatów na posadę telegrafistów udzielić należy po 10 rs. miesięcznie do czasu zapisania na etat.

— Wskutek przyłączenia się do związku poczto-vego międzynarodowego kolonii angielskiej Przylądek Dobrej Nadziei (*Cap de Bonne Esperance, Cap of Good Gope*) od d. 13-go stycznia r. b. wszelka skierowywana tam korespondencya, podlega ogólnym przepisom konwencyjnym.

— Na zasadzie rozporządzenia ministeryum komunikacyi, na stacyach miejskich kolei skarbowych pasażerowie mogą nabywać bilety nietylko w dniu wyjazdu, lecz w każdym czasie, o ile wskażą numer pociągu, którym chcą wyjechać i datę wyjazdu.

Wystawy i zjazdy. Od 21 maja do 11 czerwca r. b. otwartą będzie w Hadze wystawa międzynarodowa kwiatów sztucznych i owoców tudzież akwareli, wyobrażających kwiaty i owoce.

— W początkach lutego zwołany będzie do Petersburga nadzwyczajny zjazd hydrotechników.

Odpowiedzi Redakcyi.

N—a w Łodzi. 1) *Siewiernyj Wiestnik* (miesięcznik), niemieckie i czeskie nie mają debitu; 2) literatura niemiecka posiada gruntowne czasopisma ekonomiczne, ale poświęcone pewnym gałęziom gospodarstwa społecznego.

A. W. z ul. Chmielnej. Nie rozumiemy pytania: czy chodzi o formę wyrazu, czy o rzecz samą. *Haszysz* jest narkotykiem odurzającym, na podobieństwo opium lub morfiny. Forma *haszyszy* jest nieprawidłową w żadnym wypadku.

[illegible] E. Br, we Lwowie. Odcinek mamy na długo zajęty, z propozycyi więc pani skorzystać nie możemy.

Stud 1 kur. Trudno na tem miejscu dawać tak obszerne wskazówki naukowe. Daleko lepiej byłoby porozumieć się osobiście, a nasz współpracownik, p. L. Krzywicki, usłuży Panom chętnie swoją wiedzą i znajomością odnośnych podręczników.

***Nauczycielka,** polka, z patentem gimnazyalnym i znająca muzykę, poszukuje miejsca. — Wiadomość w Administracyi „Prawdy."*

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Января 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.